

# Ludzie rewolucji

Niemojewski, Andrzej (1864-1921)

Adres URL obiektu

<https://polona.pl/preview/d661058e-7baa-4a64-9ce1-f799779df3da>

Data wygenerowania dokumentu pdf

15.03.2024

POLONA/



Domena publiczna

## Informacje

Tytuł ujednoczony

Ludzie rewolucji

Autor

Niemojewski, Andrzej (1864-1921)

Data powstania dokumentu

1906

Prawa do utworu

Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.

Źródło

Biblioteka Narodowa

6109  
ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

# LUDZIE REWOLUCJI

PTAK · ZWIDZISKA · LATAWICA · MACIEJ BALA  
ŚWIĘTO WOLNOŚCI · JUR · DZIENNIKARZ  
PAN JEZUS W WARSZAWIE · QUOVADISIANA



KRAKÓW 1906 - KSIĘGARNIA STEFANA KAVKI



1872

266.722

250

**BIBLIOTEKA T. F. S. J.**



№ 6538

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



*Wydawnictwo*

---

*Wydawnictwo*

# LUDZIE REWOLUCJI



LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

PRINTED AND BOUND BY  
JAMES W. WATSON & CO. LTD.  
TORONTO, CANADA







I 266.722

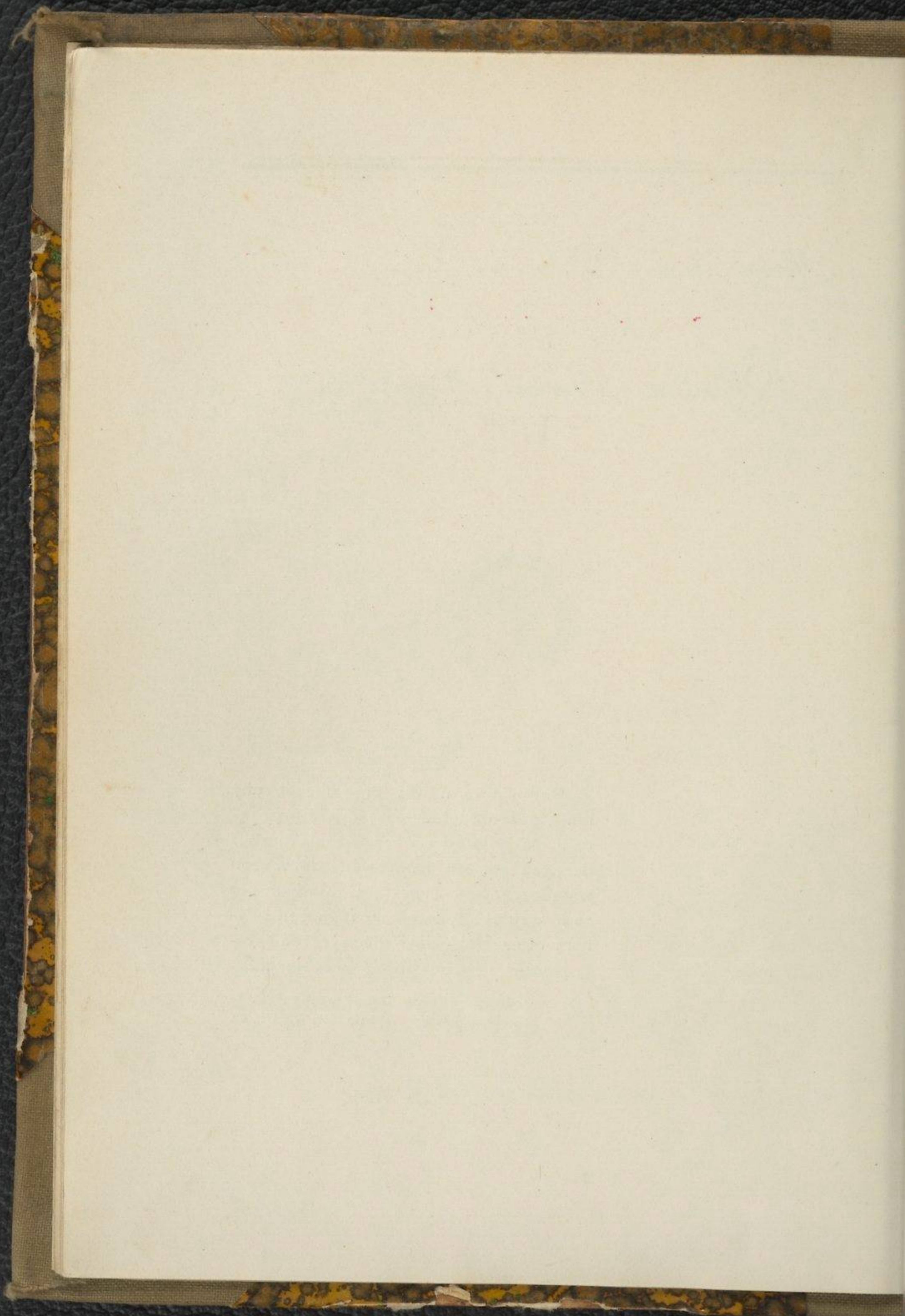
CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

---

*Moim dzieciom Adamowi, Łoſce, Lechowi  
i ich przyjaciółom  
Wandzie, Pankowi i Zygmuntowi.*

Radbym to nawet przemilczał, aby  
mnie poprostu ludzie kiedyś nie posą-  
dzili, że baję od rzeczy, wszelako zbyt  
licznych posiadam na to świadków wśród  
współczesnych. Zresztą uważałbym się  
za nieczułego syna ojczyzny mojej, gdy-  
bym nie znalazł słów dla wyrażenia te-  
go, co w rzeczywistości przecierpiała.

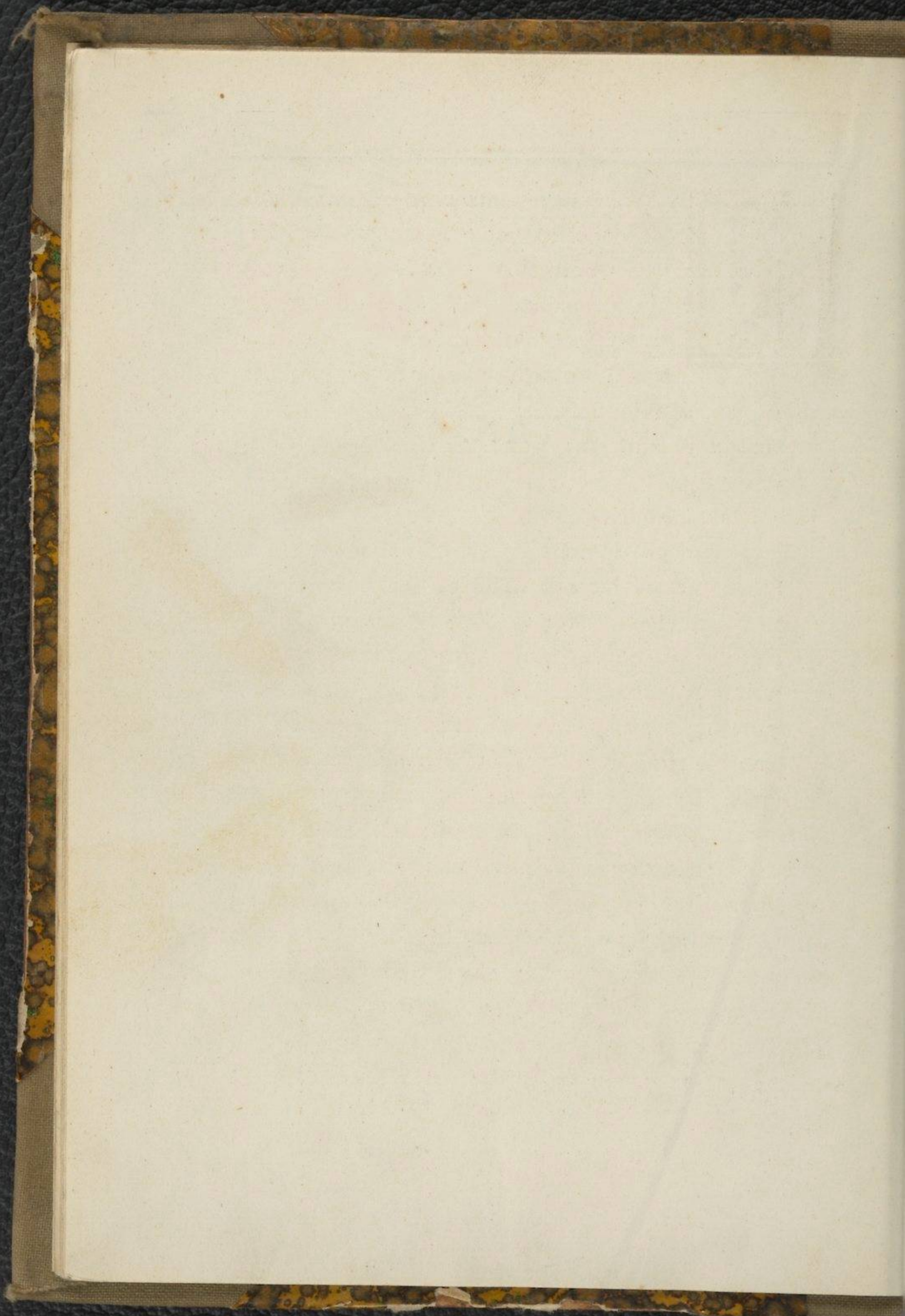
*Józef Flawjusz: „Dzieje wojny żydow-  
skiej przeciwko Rzymianom VI, III, 4“.*



---

**Szanuj książkę!**

PTAK.





Nikt nie znał prawdziwego jego nazwiska.

Mówiono do niego: Ptak. Miał bowiem twarz podobną do sowy, oczy jastrzębia a nos jak dziób krogulca.

— Ptak, brakło papieru!

Nazajutrz Ptak przynosił całą ryzę.

— Ptak, brakło czcionek!

Nazajutrz Ptak przywoził skrzynię wagi dwóch pudów.

— Ptak, pismo gotowe!

Tego samego dnia Ptak je zabierał i wynosił.

Był to jedyny łącznik tajnej drukarni z światem zewnętrznym. Nikt rzeczywiście nie wiedział o jej istnieniu, nawet najbardziej zaufani członkowie partji. Kto minął próg tej kuźni żywego słowa rewolucyjnego, ten musiał przekreślić całą swoją przeszłość. Nie masz matki, nie masz ojca, nie masz dziecka, nie masz przyjaciela, nie pragniesz szczęścia, nie ulegasz pokusom sławy, nie wierzysz w żadne nagrody przed grobem i za grobem, żyjesz anonimowo, pracujesz anonimowo, cała moralność twoja jest etyką anonima rewolucyjnego. Męczennicy, którzy ze stosa ofiarnego unoszą się w niebo wieczystych rozkoszy — to nie ty. Bohaterzy, którzy zmartwychwstają na pobojuwiskach i wstępują, w spiż zakłęci, na piedestały pomników — to nie ty. Poeci, których

---

tłumy wieńczą laurami — to nie ty. Etyka twoja jest całkiem nowa. Nie było jej nawet za czasów greckich stoików. Bo ty wierzysz nawet w to, że przyjdą po tobie inni ludzie i obalać będą twoją robotę a dla dobra dalszego rozwoju zatrą nawet wszelki jej ślad. Idzie tylko jeden, ciągły, nieustający rozwój. Ty, przemijające ogniwo, czas jakiś łączysz przeszłość z przyszłością a potem kruszysz się i giniesz. To jest tak proste, jak dwa a dwa cztery. To jest szczyt mądrości a kogo to dziwi, ten jest słabizną myślową.

Ptak był najdoskonalszym wcieleniem tej filozofii i tej etyki. Doszedł do owej rzadkiej równowagi, jaka znamionowała największych ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na świecie. A przecież był on tylko obsługaczem drukarni. Nie stawał na żadnej mównicy i nie uczył, nie układał tomów rojących się od cytata i nie przekazywał nikomu swoich myśli, nie świecił nawet nikomu przykładem, bo ci, którzy z nim razem pracowali, nie tracili drogiego czasu na wzajemne obserwacje. Żyli — i to im zupełnie wystarczało. Działali — i to zaspakajało wszystkie potrzeby ich ducha. Na świecie rozległym rósł ucisk a oni w jego podziemiach gotowali mu grób. Na świecie wędło drzewo wiadomości złego i dobrego a oni z jednego ziarnka idei pędzili nowy krzew, o zdro-

---

wych korzonkach, o nie dającej się nawet obliczyć sile wzrostu i utajonych w młodej miazdze złotych owocach. Wszystko jest tylko przemienionym promieniem słonecznym! I ta roślinka ich społecznej myśli i te kaszty drukarskie i ta bibuła i te odezwy i oni sami. Ot, zwyczajni składacze! A ten tam, niepospolity chemik, którego materiał wybuchowy sfinksowego składu obleciał wszystkie laboratorja ministerjum wojny i na żadne „Sezamie, otwórz się“ najsumienniejszych i najbardziej przemyślanych analiz nie reagował. Tamten znów, jedyny w swoim rodzaju inżynier, który umiał robić podkopy bez sztabu rachmistrzów, bez taczek i wozów, sprzątających ziemię, bez tamowania ruchu ulicznego i pomimo całej armii nastawionych Argusów. Tamta naprzykład, trzydziestoletnia kobieta, zdołała objechać kilka wszechnic, lata całe pracować w bibliotekach, zdobyć cały szereg patentów, gdzieś zagubionych po świecie, prócz... paszportu. Jak duch zjawiała się w hotelu i jak duch z niego znikła. Niby mgła wyziewana z ziemi pojawiała się wszędzie i za najlżejszym powiewem śledczej policji znowu się rozwiewała w powietrzu. Nie pomyślała nawet nigdy dłużej nad pięć minut o dziecku, które rosło u babki, z pewnością pielęgnowane należycie, bo od czegoż byłyby w ogóle babki? Nawet patenty zdobywała



---

anonimowo. Do laboratorium chemicznego Lipskiej Wszechnicy nie dopuszczano kobiet. Wdziała tedy ubranie męskie. Ale na nieszczęście razu pewnego zemdląca; profesor, poczciwy staruszek, zaczął ją cucić, porozpinał, tajemnica się wydała. Trzeba było dalej jechać w świat. Jechała, aż znalazła się tutaj. A reszta owego drukarskiego legjonu? Oni wszyscy tacy. Każdy przez chwilę stawał na najwyższym szczeblu specjalizacji naukowej a potem schodził z niego głęboko, głęboko, aż na dno społeczne, aż pod owe morze głów, dążeń, zamysłów, etyk, praw, urządzeń ludzkich, gdzie kuźnica jutra, gdzie powstaje nowa oś świata, gdzie rodzi się myśl przewodnia przyszłych pokoleń, gdzie utrzymać się może tylko genjusz anonimowości a zarazem żywioł. I rzeczywiście każdy z nich mógł być o sobie powiedzieć: ja i natura to jedno! Ale mieli w pogardzie wszelkie liryczno-filozoficzne „rozklejanie się w sobie i rozpatrywanie składowych deszczułek budowy swego ja“. To był może jedyny kanon tych sceptyków-syntetyków.

Dziesięć lat szukano ich, ocierając się niemal codziennie o ich postaci. Wydano na ich wyśledzenie kilkanaście milionów, kiedy tymczasem oni sami na siebie nie wydawali prawie nic. Cała administracja była ustawicznie z powodu nich alarmowana, gdy tymczasem żaden grecki Archimedes na taki,

---

jak oni, nie zdobywał się spokój. A jednak powo-  
dzenie nie oślepiało ich. Przezorni do granic osta-  
tecznych, gdy rzeczywiście najmniejszej nieostro-  
żności nie mogli w swem postępowaniu wyśledzić,  
jeszcze na podstawie rachunku prawdopodobieństwa  
gotowali się do katastrofy nieuniknionej. Zmieniali  
mieszkania, przenosili się z miast do miast. Nad  
każdym z nich zawisł niesformułowany wyrok śmierci.  
Ale śmierć jest fizjologicznie i psychologicznie tylko  
kwestją nerwów a przyrodniczo i filozoficznie tylko  
kwestją przemiany materji. Kiedyś ludy zrewoltowane  
stawiały świątynię Rozumowi. Gdyby to od nich dziś  
zależało, może stawiliby świątynię Świętemu Instyn-  
ktowi. Ale i to nie. Protoplazmie? I to jakiś twór  
pochodny. Wzięliby sobie za tymczasowego boga  
jakiś pierwiastek chemiczny, ot, na przykład, tlen.  
Ustawić w cyborjum fiołę z Świętym Tlenem. On  
życie żyjące podtrzymuje a ginące rozkłada. On  
teraz w czasie żarliwej pracy wbiega do ich płuc,  
przenika do krwi. Potem, gdy odczytany zostanie  
wyrok a jedwab szyję zaciśnie, spełni resztę swego  
władczego zadania nad nimi...

Aż nadszedł ów dzień losowy. Ptak, który zawsze  
rano opuszczał drukarnię z bibułą zadrukowaną  
a wieczorem zjawiał się z bibułą nową, przybył nie-  
spodzianie w południe i rzekł tylko:



---

— Zabierajcie, co możecie, i rozchodźcie się natychmiast.

Wszystkie oczy podniosły się od kaszt drukarskich na niego i zaraz potem szybko obieżyły całą izbę. Po upływie dziesięciu minut nie było już nikogo, kaszty opróżnione, bibuła zabrana. Znikli, aby gdzieś w nieznanym punkcie zebrać się na nowo. Ptak został sam. Począł okna i drzwi barykadować. Położył na stole dwa rewolwery systemu Smith & Wesson, ale modelu wojskowego, więc dwunastostrzałowe, następnie nóż i siekierę. Głupi przypadek! Dnia tego była niezmierna ślizgawica. Potknął się. Upuścił paczkę. Sznur pękł, wszystko się rozleciało. Chciał zbierać. Ale zbliżył się stójkowy i jakiś agent, którego poznał po charakterystycznym wyrazie oczu. Więc rzucił się do ucieczki. Tak, w całej dzielnicy znano go, choć o nic nie podejrzrywano. Wiedziano, gdzie mieszka. Naprowadzi więc policję na towarzyszków. Zdążył jeszcze ich ostrzedz, ale sam już się nie wymknie. Ich twarzy nie znają tak, jego wskaże każde dziecko, raz porządnie zjechał na ham. Więc skończone. Ale pozostał akt ostatni. Nie da się tak łatwo wziąć. Nie da się wziąć wcale. Z kolei rozłożył na stole paczkę z nabojami. Przez otwory w deskach okiennicy, które był dawno przygotował, można brać na cel w dość rozległym polu widzenia.

---

Zabarykadowanych drzwi sztabami, szafami, nie wyłamią tak prędko; będzie zresztą strzelał z drugiego pokoju.

Już szarpnięto dzwonek. Ptak wyjrzał przez otwór w oknie. Dom otoczony żandarmerją i policją. Na koniu oficer. Ptak zmierzył, strzelił. Oficer spadł z konia a łańcuch obłęźniczy w jednej chwili prysnął na wszystkie strony. Teraz słychać łomotanie do drzwi. Znowu cisza. Ptak wyjrzał przez strzelinę. Cóż to? Poszli sobie? Uzuppełnił nabój, czekał. Mięło pół godziny. Nagle rozlega się salwa a kilka kul przewierciło na wylot okiennicę i odbiło się o ścianę przeciwległą, że posypał się gruz. Ptak zdążył przez strzelinę dojrzeć w oddaleniu po przeciwległej stronie placu oddział wojska, który ponownie przykładał karabiny do policzków. Ptak szybko usunął się w bok. Nowa salwa. Pół okiennicy wyleciało. Ptak próbował mierzyć z za muru, ale odległość była zbyt wielka. Tymczasem ponowiło się łomotanie w drzwi. Już drzewo trzaska. Wałą toporami. Ptak stanął za odrzwiami. Barykada kruszy się. Już w wylomie widać jakąś twarz. Ptak rzucił strzał z ręki. Strzelał jak mistrz. Krótki jęk, popłoch — a potem regularne kroki marszu piechoty. Ledwie zdołał lepiej ukryć się za murem, kiedy przez wylom gruchnęła salwa. Zerknął znowu ku oknu. Aha, czają się pod

---

murem. Ptak pochylił się nieco naprzód. Strzelił raz, drugi, trzeci, czwarty. Mierzył celnie a szybko — skutek był za każdym razem. Ale i oni nie próżnowali. Kule latają po całym pokoju. Ptak odkłada jeden rewolwer, bierze drugi. Wraca do okna, nie widzi nikogo, wychyla się — a wtem ze strychu domu po przeciwnej stronie placu padł strzał, celny strzał, bo kula trafiła Ptaka w samo czoło. Automatycznie ściągnął cyngiel rewolweru, strzelił gdzieś w powietrze i runął bez życia na podłogę.

Strzelanina nie ustała jednak tak prędko. Dokoła zwłok Ptaka tworzyła się kałuża. Dziurawiły te zwłoki nowe kule, ostrzeliwano mieszkanie systematycznie jak pole bitwy z ukrytym gdzieś nieprzyjacielem. Rewolucjonista bowiem to „chytry człowiek“! Gdzieś się przyczai jak zwierz, z ukrycia ukąsi... Toteż gdy nareszcie po upływie jakiejś pół godziny odważyli się wtargnąć do mieszkania, Ptak już dobrze ostygł a w dymie, który napełniał pokój, ledwie go mogli odnaleźć na podłodze. Zawziętość była taka, że go jeszcze buciskami kopali i tłukli kolbami. Na miejsce wypadku zjeżdżali się wyżsi dygnitarze. Przetrzęsnięto całe mieszkanie, obejrzano każdy szczegół urządzeń. Ptaka odwrócono twarzą do góry. Dwie eksceleńcje w czapkach na głowie i w wykładanych futrem płaszczach cesarskich patrzyły w tę twarz

---

ptasią, niepospolitą, a jedna ekscelencja rzekła do drugiej:

— Szalony człowiek!

Druga zaś odparła pierwszej:

— Spytaćby Lombrosa: genjusz, czy obłąkanie?

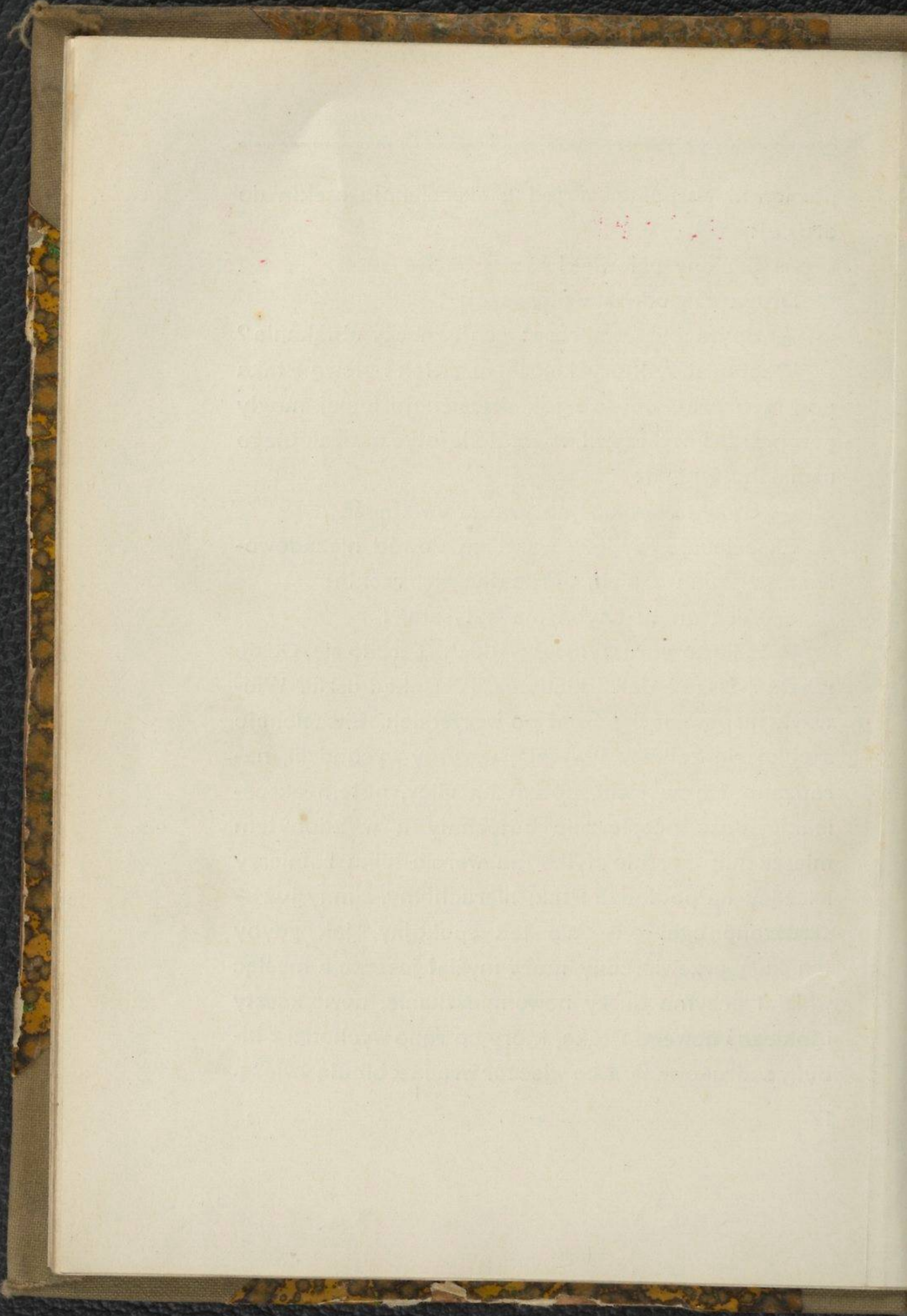
Wachmistrz, który klęczał u zwłok i głowę Ptaka podtrzymywał, aby się jej ekscelencje lepiej mogły przypatrzeć, wykrzywił twarz do idjotyczno-zalotnego uśmiechu i rzekł:

— Świnia rewolucyjna, wasza świetność...

Ekscelencje wydeły wargi na dowód niezadowolenia, a jedna z nich, obracając się, rzekła:

— Ależ on tu chyba nie był sam?!

Pytanie to poruszyło wszystkich. Zaroilo się. Gdzie reszta? Uszli? Jak i kiedy uszli? Dokąd uszli? Wietrzyk niepewności powiał po wszystkich. Ekscelencje szybko się zabrały i wyszły, wszyscy wychodzili, naradzano się w sieni, potem na ulicy, potem ekscelencje dość pospiesznie odjechały a w zdobytym mieszkaniu zostało tylko na warcie kilku żołnierzy i leżący na podłodze Ptak, nieruchomy, zimny już — skruszone ogniwo — ale tak spokojny, jak gdyby ten kulą przewiercony mózg myślał jeszcze a myśląc widział oczyma duszy nowe mieszkanie, nowe kaszty i jakiegoś nowego Ptaka, który co rano wychodzi z bibułą zadrukowaną a co wieczór wraca z bibułą świeżą.

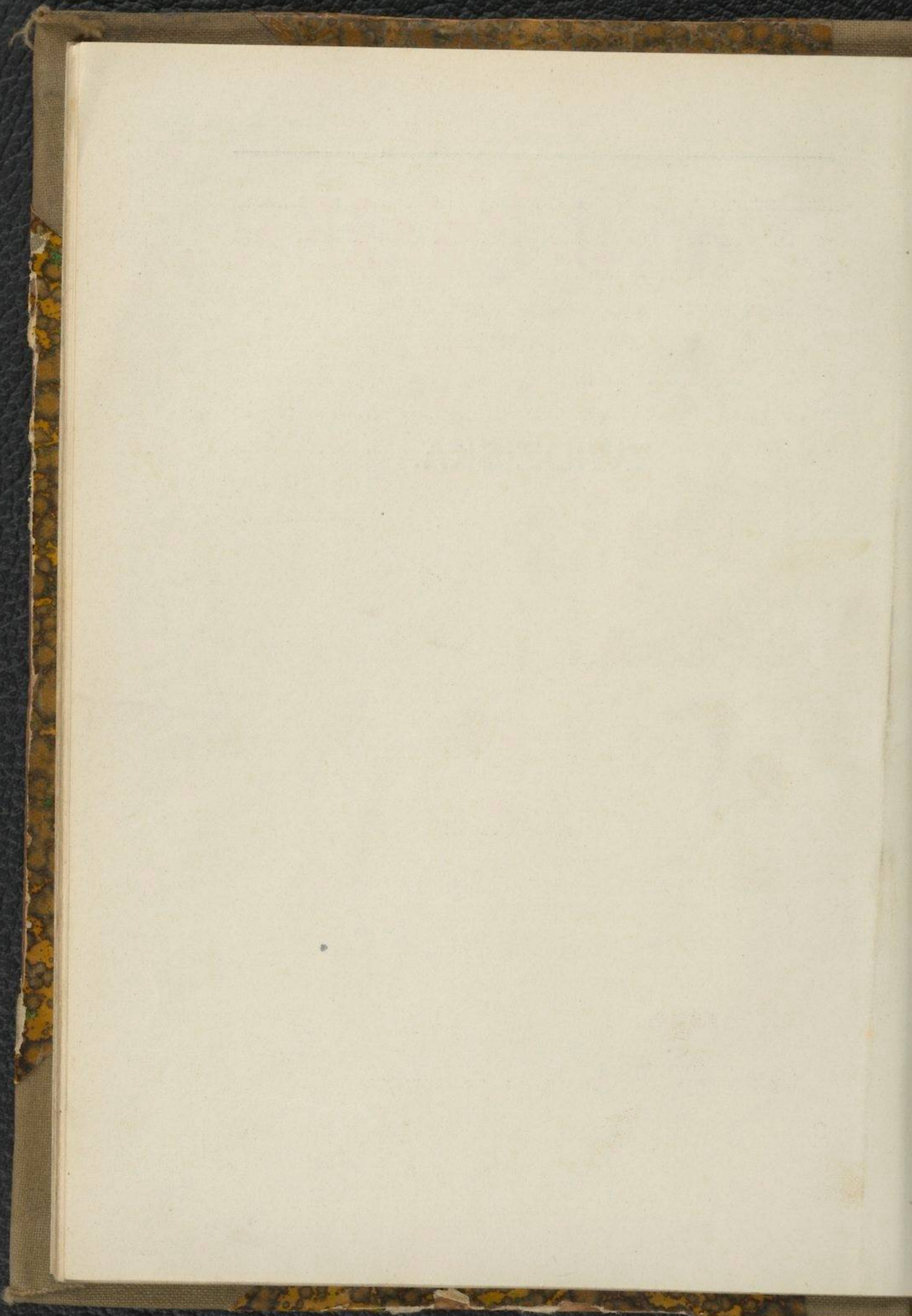


---

**Szanuj Książkę!**

**ZWIDZISKA.**







ruk przyjął miejsce domowego nauczyciela w Jawornicy u pana Merwarta głównie dlatego, aby mógł całkowicie pogłężyć się w Kronice Galla. Chodził w Warszawie na prawo; ale dusza jego nie miała nic wspólnego z pandektami. Pisywał wiersze i wcale nieźle władał formą. Mówił sobie jednak: licha wie, czy te nasze wiersze wogóle ktoś czytać będzie a tymczasem taki przekład Galla może przejść do potomności. Upajała go muzyka leoninów średniowiecznej łaciny. Deklamował z przejęciem:

Qui noverunt,  
Qui senserunt  
Carceres et vincula,  
Nos ad laudes,  
Non ad fraudes  
Damus haec munuscula.

Marzył tylko o tem, aby Kronikę spolszczyć wierszem i wydobyć z oryginału całą muzykę, jaka mu tam grała. Nie zajmował się sporem uczonych, czy poetycznemu mnichowi było na imię Balduin, czy brał udział w wyprawach krzyżowych i uciekł z pod Antiochji a nagle wypłynął w Polsce jako biskup Kruszwicy. Nie — o to mu tylko chodziło, aby ów stary pomnik piśmiennictwa przekuć na mowę

---

granitową takiego Wyspiańskiego, który dramatami swojemi rozbudził w nim poetyczne tęsknoty. Przekład Komarnickiego nie zadawał go. Język tam szary jak dzień listopadowy. To nie muzyka wezbranego potoku wiersza, ale gładzenie wody i turkot młyna. A przytem Komarnicki zamieniał wiersz na prozę a leoniny średniowieczne na pseudo-klasyczny jedenastozgłoskowiec. Co innego Wyspiański! W jego prabaśni dziejowej szumią dęby, mruczą tury. Jakże to idzie?

Był dworzec drewniany z lipowych uwięzi,  
na przełaj sprzęganych przez krokwie dębowe...

Brzmi to jak Wagner, jak uwertura do Tannhausera, jak powódź pieśni o Nibelungach:

Uns ist in alten maeren  
wunders viel geseit,  
von heleden lobebaeren,  
von grozer arebeit...

Kruk, załatwiwszy się z dwoma uczniami, godzinami całemi chodził po rozległym parku i w szumie drzew szukał melodji do swego przekładu. Razu pewnego panna Merwartówna zaśpiewała mu pieśń wojenną:

W jaworowym gaju słowiki śpiewają —

---

a pieśń ta włączyła się za nim odtąd krok w krok.  
Brzmiało mu rozciągle, rozdalnie:

Ażeby was było jak na morzu piany,  
Jeden dla mnie tylko,  
Jeden dla mnie tylko — —

reszta rozpływała się w burzy odartych z liści konarów, potrząsanych wiatrem październikowym. Kruk dziwnie zobojętniał dla spraw publicznych. Uciekł z Warszawy przed wiecami kolegów, którzy właśnie roztrząsali zasadniczą sprawę, czy powinno się „stać” na stanowisku niepodległej Polski, czy wszechrosyjskiej konstytucji. Wynikło z tego kilka sądów honorowych. Kruk miarkował jedno, że bierze po dawnemu górę tertium comparationis — stać. Razu pewnego, w niedzielę, przechadzał się aleją topolową, która okalała park. O mur stał oparty starszy gospodarz Ćmiel. Skłonił się on Krukowi. Ten na ukłon odpowiedział ukłonem i nawiązała się rozmowa.

— A nie ma tam panicz czego do czytania?

— Mam i nie mam. Z gazet?

— A choćba z gazet.

— Kurjer Warszawski, Goniec, Gazeta Polska?

— Eh, proszę panicza, ktoby dziś takie pisma czytał! Kurjera Codziennego panicz nie trzyma?

Kruk popatrzył na Ćmiela uważniej. Ale i ten na Kruka uważnie patrzył.

- 
- Może panicz ma co z takich...
  - Aha, z takich, co to...
  - Tak...
  - Naprzykład... Nie mam...
  - Mocno ciekawe rzeczy niekiedy piszą!
  - Może Ćmiel co z tego ma?
  - Kiedy to trzeba dobrze chować!
  - Rozumie się, że trzeba bardzo dobrze chować.
  - Wydają teraz w Warszawie Gazetę Ludową.

Panicz nie widział?

- Może widziałem... nie pamiętam...
- To tak wygląda — rzekł Ćmiel i dobył z zanadru pisemko.

Kruk mimowolnie obejrzał się dokoła i wziął gazetkę do ręki.

— Nie potrzebuje się panicz lękać. Tu we wsi robota idzie wcale dobrze.

Kruk się stropił. A Ćmiel dalej:

- Robotnika panicz czytywał?
- Zdawało mi się, że drukarnię wykryli?
- He, he, kiedy to było. Aleć przecie w niepełna sześć niedziel puścili w świat nowy numer i to jeszcze jaki! A Czerwony Sztandar panicz widział?
- Niech Ćmiel pokaże.

Znowu u gospodarza w zanadrzu coś zaszeleściło. Ale zarazem ukazała się czerwona okładka.

---

— A to czerwone, co to?

— Proletariat i Burżuazja. Właściwie, proszę panicza, Manifest Komunistyczny.

— Czy to was tak interesuje? Walka klas?

— Nie wszystko to akurat do wsi pasuje, ale swoim porządkiem mądrze pisane i po przeczytaniu we łbie robi się jaśniej. Może to panicz przeczyta?

— I owszem.

— A dziedzicowi, paniczu, nie możnaby tak kiedy podsunąć?

Kruk był zakłopotany. Ćmiel popatrywał na niego i mówił:

— Trzeba, paniczu, swoje robić wszędzie — i tu — i tam... O, idą czasy!

Kruk schował wszystko, pożegnał się z Ćmielem i ruszył wolno w głąb parku. Był zły i zawstydzony. Dawno wyleczył się z wszelkiego społecznictwa. Bibuła, biblia pauperum, zupełnie go nie interesowała. Nie wierzył zresztą wcale w jej skuteczność. To, co go dziś spotkało, wywarło na nim takie wrażenie, jak nagłe ukazanie się otchłani u stóp samych. Lubił przebywać w wyższych sferach ducha, bujać na szczytach poezji, lepić skrzydła z myśli i unosić się w przestwory. Miewał piękne sny i tak czułe zmysły, że mógł, gdy chciał, czuć woń, jakiej pragnął. Nie lubił wyrazu: agitacja. Tymczasem ta agitacja wy-

---

biegła za nim z Warszawy i oto zaczepiła go tutaj na głębokiej wsi ustami prostego chłopca. Czyżby istotnie wstawał jakiś nowy świat? Dochodziły go też głuche wieści o poborze. Wojna na Dalekim Wschodzie paliła się już jasnym płomieniem. W kilka dni później pan Merwart przy obiedzie powiedział mu, że w armji mandżurskiej znajduje się Polaków czterdzieści na sto. Kruk zdrętwiał. Jeżeli się policzy kozaków, łotyszów, estonów, małorusów i rdzennych rosjan w owej reszcie sześćdziesięciu na sto, w takim razie główne siły składać się będą z takich Ćmielów. Więc jest to niemal wojna polsko-japońska! Całe popołudnie zeszło potem Krukowi na jałowem grzebaniu po słownikach. Czterdzieści na sto! O zmroku zaszedł do parku. Panna Merwartówna przechadzała się tam już od godziny. Dziś była bardziej blada, niż kiedykolwiek. Kruk zbliżył się do niej. Zaczęli naturalnie rozmawiać o nastrojach. Wszelako rozmowa jakoś tym razem nie kleiła się. Kruka zastanowił nieco melancholijny uśmiech dziewczyny. Zapytał ją o powód. A ona, zrazu nieśmiało, ale potem coraz szczerzej, zaczęła mu wyjawiać swoje myśli. Oto żyją fantasmagorjami, oto ulatują w jakiś zaświat, oto z czczej piany wyobraźni budują sobie kajaki i płyną ku Wyspom Błogosławionych — a na nagich brzegach rzeczywistości pozostaje ciemny

---

lud, który przed rokiem nie słyszał nawet o istnieniu jakiegoś Żółtego Morza, a teraz porywają go na wojnę całymi gromadami, nietylko pojedynaków, ale ojców rodzin. Rozpacz go ogarnia, idzie jednak, idzie i ginie na obcej ziemi. Wsie opustoszały. Pewien wdowiec, nie mając przy kim dzieci zostawić, błagał w urzędzie, aby mu dali jaką radę. „Jakże pójdę na wojnę? Gdzież te sieroty podzieję?” „Gdzie? Powieś je!” Chłop wrócił blady jak ziemia. Wyprowadził dzieci na grób matki i — powiesił. „Jużem zbrodniarz, bierzcie mnie teraz!” Niewiasty biegły za brańcami do miasteczek. Kładły się na szyny, aby nie puszcząć pociągów. Przypinano parowozy z drugiej strony i nagle pociągi ruszały. Ryk nie-ludzki towarzyszył temu odjazdowi, niewiasty zrywały się z ziemi, biegły z wyciągniętymi rękami... Widziała to na własne oczy w Kutnie i Włocławku. A potem przychodziły wieści o strasznych pogromach nad Jalu, pod Kinczou — i jeszcze straszniejsze o wilczych dołach, o fugasach, o polach zasłanych trupami i rannymi, o morzu jęków, dobywających się z piersi ległych kroci... Wszyscy jechali na ten daleki Wschód a jednego tylko nie wiedzieli — poco tam jadą! Wszyscy wystawiali się na śmierć i wiele gorszą od śmierci niedolę wojenną a nikt nie umiał dać odpowiedzi na pytanie — komu co



---

z tego przyjdzie! Z wszystkich krzywd, jakie rząd zadał ludowi polskiemu, ta chyba największa, najokrutniejsza, najbardziej nieludzka, najbardziej potworna. Ginać takimi masami i nie wiedzieć za co!... Wyłaż z cichej wsi, nie pytaj, poco i naco, wdziejaj szynel, bierz karabin i jedź!... Wyobraźnia gubi się całkiem w liczbach poległych. To już nie wojna, ale szal krwawy, mord gromadny, rzeź. Rozum głupieje a serce zamiera. Tymczasem w górze nad tym ciemnym ludem, tak ogromnie pokrzywdzonym, warstwy wiedzy i wykwintu toczą akademickie spory o najlepszą formę urządzeń społeczno-narodowych. Metafizyka polityczna padła na umysły jak hypnoza. Inteligencja buduje domy z kart, spiera się o każde piętro utopji a dokoła niej żywe życie bucha krwią, szczęka stalą, ryczy chórem armat i jęczy grobami żywcem dla pośpiechu zakopanych.

Kruk słuchał. Już było zupełnie ciemno. Wiatr szumiał i napełniał sad jakby odgłosami odległych wypadków. Kruk czuł, że go płacz chwyta za gardło. Nie mówił nic, tylko słuchał i słuchał. A Merwartówna swym cichym głosem wywodziła dalej o tej wojnie, o poborach, o dziwnej ospałości ogółu, który jakby nic nie czuł, niczem się nie zajmował, zobojętniały, obcy swojszczyźnie. Już po Rosji idą pierwsze podmuchy rewolucji. Już Sazonow obalił bombą

---

Plewego. Już krwią robotniczą ściekły bruki Grzybowskiego Placu w Warszawie. A ogół milczy i nic, nic... Tylko rozlega się czasem: oświata ludowa! Trzeba walczyć z ciemnotą ludu!... Tak, lud leży na olbrzymim poboju, krew uchodzi mu z ran a oni go chcą w tej chwili uczyć czytać... Głód skręca wnętrzności dzieciakom w chałupach nieopalanych a oni chcą je nakarmić i ogrzać Raclawicami, Grochowem, Stoczkiem... Żołnierzowi, który z bagnietem w ręku za miesiąc ruszy do ataku na usiane Japończykami wzgórze Laotuńskiego Półwyspu, kładą w głowę na gwałt Batorych, Jagiełłów i Chrobrych... W jedno ucho grzmi mu orkiestra pułkowa: „Boże cesarza chroń“ a w drugie ucho szepce ludowiec: „Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej“... A żołnierz ten, otumaniony dwugłosem baśni o żelaznych wilkach, z śmiercią w tłukącym się sercu, przedziera się przez gęstwą drutów kolczastych, przez morze dymu i przez grad pękających szrapneli... Wszystkie filozofje bankrutują wzdłuż i wszerz Powiśla, padają w gruzy wszystkie wiary, konają wszystkie tradycje — i już jest tylko jedna brutalna siła a jej spiżowe ukazy...

Kruk czuł, że Merwartówna obala mu w głowie cały jego dotychczasowy pogląd na świat, na wydarzenia, na Polskę, na Rosję, na ową niepodległość

---

i konstytucję, na inteligencję, jej zadania, jej dążenia, jej zaświaty. W ciągu godziny poszarzał mu Gall ze swoją wierszowaną kroniką. Czyje oczy będą takie rzeczy czytały? Czyj umysł znajdzie spokój dla rozkoszowania się muzyką leoninów? Jakiś cały naród ginie razem ze swoją kulturą dziesięciowiekową i — gdzie rada, gdzie jakiś sposób na to, w którą zwrócić się stronę po ratunek? Jeszcze przed tą rozmową sądził, że ma prawo żyć życiem myśli od samego życia oderwanej... Że ma obowiązek pracowania nad rozwojem mowy polskiej, kształceniem jej muzyki, mnożeniem jej barw. Nagle stanęło mu przed oczami pytanie: a czy czasem nie braknie ust, mówiących tą mową? Czy nie braknie oczu, czytających polskie książki? Czy, co najmniej, cywilizacja całego kraju nie cofnie się o jakie pięć wieków? Czy nie zostaną pola nieobsiane, miasta wyludnione, wsie opustoszałe, gdy po morderczej wojnie przyjdzie głód, zaraza, śmierć? W tej chwili przypomniał sobie, że już pierwsze wieści o cholercie nadbiegły. Lądem i morzem, gościńcami i rzekami, wędruje zdaleka, jest już bliżej i bliżej. Kiedyś przy obiedzie pan Merwart wspomniał o potwornych scenach podczas grzebania rozkładających się zwłok, gdy żołnierze z powodu trupiej woni chustami owiązują sobie twarze, aby nie zemdleć. To wszystko teraz nagle

---

łączyło się w głowie Kruka w jeden przerażający obraz. Drżał na całym ciele. W parku rozległ się dzwonek, przyzywający na wieczerzę. Ruszyli w stronę domu. Kruk jednak oświadczył, iż pójdzie od razu do siebie. Jest zanadto wzruszony, nie zdoła nic przełknąć. Merwartówna ścisnęła mu rękę na pożegnanie a on tę rękę poniosł do ust. Przysłano mu wieczerzę na górę. Nie tknął jej. Chodził tylko po pokoju tam i napowrót. Potem zgasił lampę i siadł przy oknie. Oparł czoło rozpalone o zimną szybę i rozplakał się. Odskoczył od okna i znowu chodził czas jakiś. Wreszcie siadł. Z otwartego pieca bił stożek czerwieni na podłogę, na przeciwległe okno i biały krzyż między czterema szybami. W głowie mu huczało. Zapatrzył się w przestrzeń. Po pewnym czasie zegar jął najpierw mruczyć sprężyną a następnie wydzwonił szybko dziesiątą. Kruk drgnął, usiadł prosto i czuł, że się z nim dzieje coś niezwykłego.

Ale już po chwili zatracił zupełnie władzę nad swemi myślami. Z tego, co słyszał, i z tego co się lęgało w jego głowie, powstał obraz, który gdzieś w przerażającym oddaleniu widział przed sobą. Przybladł, twarz pokryła mu się zimnym potem, oczy ustawiły się w ów „kąć nieskończoności“ a włosy jęły mu się jeżyć.

---

Widzi rozległe pola. Pełno grobów. Niektóre ruszają się. Wylazi ręka, wychyla się jakaś głowa o twarzy sinej, półzduszonej. Cała przestrzeń się rusza. Wstaje z grobów armja nędzarzy, jedni na kulach, inni bez rąk, wszyscy zaś bez butów. Łachmany na nich, zwalane krwią i błotem rozmięklej ziemi. Zbierają się w kolumny, długie, nieprzebrane. Idą, idą, mijają bajeczne przestrzenie; mijają kontynenty, kolumna wali za kolumną a potem jak widły wielkich rzek rozdwarzają się. Jedna rzeka upiorów leje się drogą od lasu w stronę wsi, druga w stronę folwarku, trzecia gdzieś za widnokrąg. We wsi cisza. Wszyscy śpią. Kolumna upiorów płynie środkiem drogi, tylko do każdej chałupy zbliża się jedna postać i przykłada dłoń do drzwi. Już na każdych drzwiach krwawy ślad dłoni i pięciu palców. A potem wszystkim dalej — przerażająca cisza.

Kruk opuścił wyczerpaną głowę na poręcz fotela. Oprzytomniał nieco i zaczął zdawać sobie sprawę, że była to — emanacja. Prawie nie oddychał. Oczy uniósł w górę. Zdawało mu się bowiem, że jeżeli je opuści znowu na on stożek czerwieni, to ujrzy jeszcze straszniejsze sceny. A nie chciał już ich. Zegar znowu począł mruczyć swoją sprężyną i szybko wydzwonił godzinę jedenastą. Nagle Kruk poczuł w powietrzu jakieś drganie. Wszystkie zmysły za-

---

ostrzyły mu się. Widzi i słyszy przez ściany, przez dale. Znowu go — bierze. Ale tym razem inaczej. To już nie — emanacja. Teraz poprostu — widzi, czuje, słyszy, dotyka. Dzwony biją w Świedziebni. Zgiełk jakiś. Lecą ludzie z kłonicami i drągami w stronę Dzierżna. Dokoła urzędu gminnego wre, widna głowa przy głowie. „Gdzie nasi ojcowie? Gdzie nasze syny? Niech nam zwrócą naszych synów i ojców!“ Kilka siekier rąbie deskę z orłem dwugłowym. Wybiega pisarz i woła: „W imieniu najjaśniejszego pana“. Ale na to zrywa się wrzawa okrutna. Pisarz powalony pada na wznak. Tłum depce po nim, wlewa się do kancelarji, burzy ławy, stoły, niszczy obrazy w złotych ramach, łamie lichtarze, przy których tyle przysięg składano. Chwyta krucyfiks, podnosi w górę i wyje: „A to już nic?!“ A dzwony biją, biją w Świedziebni, spiżowe ich dźwięki oblatują całą okolicę. Spieszą tłumy z Grzęb, Janowa, Ostrowia, Osieka, Radziwia. „Precz z urzędnikamy! Precz z naczelnikamy! Precz z komisarzamy!“ Dzwony biją dalej a biją. Pali się urząd gminny. Chłopstwo siada na wozy drabiniaste, zaprzężone w czwórki. Ruszają, dudni ziemia, pędzą galopem od wsi do wsi. Już w drugiej gminie zdarte orły, zburzone ławy i stoły, poszarpane księgi. Nowa łuna rozpościera się na nocnem niebie. Dzwony biją i biją. Biją jakby na

---

jakiś Sąd Ostateczny, tylko nie ten, zapowiadany podczas uroczystości pasyjnych, ale inny, po którym zasklepią się wszystkie rany, zaludnią wszystkie wsie, zakwitną wszystkie łąny zbożnem kwieciem, wyrosną szkółki, ochronki, wybory, wiece społeczne, ustanie na zawsze pobór i mord, sieroctwo i wdowieństwo gromadne a przedewszystkiem ów los niewiadomy całym wsiom, całym gminom, całym powiatom...

Zadrżała podłoga, jęły szyby. Głucha wrzawa otoczyła dwór. Kruk chwilę jeszcze siedział a potem nagle wstał, wstąpił w oną czerwień, obrócił się do koła siebie, uczynił kilka kroków naprzód i runął na łóżko twarzą w poduszki.

Kiedy się zbudził z tego omdlenia, czy snu, szarzał już dzień. Nic nie pamiętał. Ciężła mu tylko głowa. Zmył twarz i ciemną wodą, ubrał się, zszedł na dół. Panowało tam zamieszanie. Każdy rzucał mu jakieś urywane zdania, wybiegał, wracał, znowu coś bezładnie mówił i znowu wybiegał. Kruk słyszał tylko coś o pojawieniu się „ruchów agrarnych“, o „burzeniu się chłopstwa“, o „zrywaniu emblematów rządowych“, o „pustoszeniu urzędów gminnych“, o „socjalistach czy jakichś innych agitatorach“, potem „pakujemy się“, „wyjeżdżamy do Warszawy“, choć i tam „na coś się zanosi“, ale „przecież“... Kruk wypił machinalnie herbatę a potem poszedł na górę pakować

---

się. Dopiero około południa mógł się rozmówić z Merwartówną. „Ruszyło się w okolicy, rodzice chcą gwałtem do Warszawy“. „A pani co na to?“ „Sprzeciwiałam się; ale może to lepiej“. „Dlaczego?“ „Bo i tam chyba musi się już coś dziać“. „Więc?“ „Może znajdzie się dla mnie jaka robota“. „A tu nie?“ „Tak, ale brak nam oddechu z wielkiego świata“. „Tak, pani, jedźmy po ten... oddech“.

Po południu zajechała karetą i bryczka podrzeczy. Kruk uparł się, że pojedzie na koźle, choć niebo było mgliste i mżyło. Tęgie konie unosiły karete szybko. Kruk czasem oglądał się. Za szybą widział Merwartównę, wtuloną w kąt przedniego siedzenia, z mufką u ust. Odwracał się znowu naprzód i patrzył w szarą przestrzeń. Powoli czoło znowu jęło mu płonąć. Chłód i mgła niosły mu jednak pewne ukojenie, że panował nad obrazami, które wciąż się przed nim tworzyły. Bo w tej szarzyźnie pól i dróg, lasów i wsi, biegły do niego tłumy owych zwidzisk, równie szare jak ziemia, oczy jak ziemia, czoła jak ziemia, ramiona jak ziemia. Dzwony biją: „Qui noverunt, qui senserunt, carceres et vincula“... Jakaś olbrzymia Kronika majaczeje przed nim a Gallem jest cały ów bezład postaci, lecących polami po obu stronach karety. Wzdrygał się, ale inaczej; bo go samego porywało. Jakieś poczucie siły, jakaś szcze-

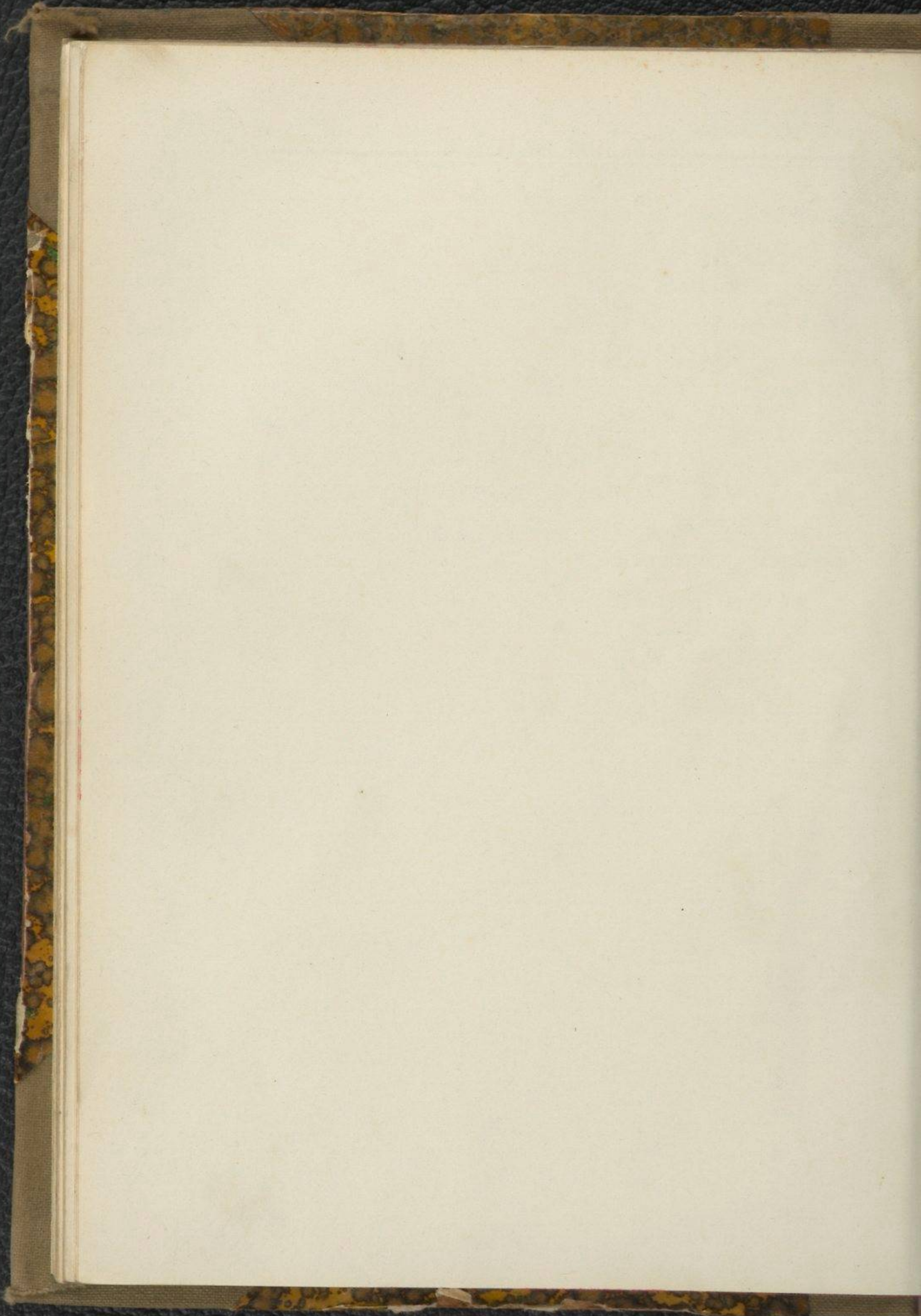


---

gólna radość w nim. Znowu ogląda się na Merwartównę. Siedzi wtulona w ką, nie odejmuje mufki od ust. Zna ten ruch. Więc jakiś prąd idzie mu od stóp do głów i znowu pogląda przed siebie w przestrzeń. Dzwony biją, polami szare tłumy płyną, niekiedy i Merwartównę widzi wśród nich... Płynie, wysuwa się naprzód... razem... do Warszawy... po oddech wielkiego świata... Po oddech? A może ta szaryzna lecących polami cieniów oblegnie zmartwiały wielki świat i jemu zanieśie — swój oddech??

---

LATAWICA.





Sieczka, Turzym i Swobodny otrzymali z partji nakaz wysadzenia dynamitem mostku żelaznego, znajdującego się na czwartej wiorście. Wyszli o zmroku, przebierali się polami, gdyż po drogach snuło się kozactwo i bardzo zaczepiało. Swobodny, stary kamieniarz, umiał się z dynamitem obchodzić doskonale; Sieczka i Turzym byli mu dodani tylko do pomocy. Wieczór był wilgotny a z nizin podnosiły się opary. W siwym tumanie pogrążały się laski, wsie, słupy telegraficzne. Szli tak, aby nie tracić z oczu toru i przekonać się, czy jest rzeczywiście tak strzeżony, jak o tem donoszono partji. Niebawem przekonali się, że partja posiadała dobre wiadomości. Lewą ścieżką toru, jeden za drugim, jechało dreptaka pięciu kozuniów. Robotnicy przyczaili się w zagajniku i przeczekali, aż patrol całkiem zginął w mgle. Patrol ten oddalał się w stronę przeciwną, niż oni dążyli. Ponieważ w tem miejscu zagajnik tykał samego toru, więc mogli ciągle iść blisko, co im dało możliwość patrzenia także po drutach telegrafu. Niebawem napotkali dwa słupy zwalone. Dobrze się rozejrzeli po okolicy, aby zapamiętać miejsce, w którym to było. Szli jeszcze dalej. Sieczka wdrapał się na tor i szukał kamienia wiorstowego. Znalazł go.

---

Już — niedaleko. Wysadzenie w powietrze mostku było z tego względu konieczne, ponieważ wśród kolejarzy zaczęła brać górę kontrrewolucja, dokładająca wszystkich starań, aby przełamać długotrwały zastój kolei. Wzywała na pomoc policję, wojsko, wyprawiała pociągi ze swoją strażą, wyposażoną w rewolwery. Ale wszystko to nic nie pomagało, bo tłum stawał na torze i krzyczał do silniczego. „Walaj przez nas!” Silniczy gwizdał, zwalniał, wreszcie musiał pociąg zatrzymać. Wtedy towarzysze wskazywali do wagonów i biada zdrajcy, jeżeli nie umiał dobrze zaszyć się między publiczność. Odpinano silnicę, wozy zostawiano w szczerem polu a silnicę puszczano tylko do najbliższej zwrotnicy, skąd musiała cofać się na stację do swojej „stajni”. W ciągu ostatnich dni walka z tą kontrrewolucją doszła do najwyższego napięcia. Już niekiedy здаwało się, że musi się polać krew. Zdradę ubierano we wszystkie sukienki dobra publicznego, przystrajano szarfami „trzech po sobie idących powstań” i ciągle kazano białemu orłowi, aby trzepotem swoich niewinnych skrzydeł zapędzał na stanowiska świętujących kolejarzy. Każdemu towarzyszowi już kością w gardle stanęły owe „trzy po sobie idące powstania” i ów „biały orzeł”, z którego kontrrewolucja zrobiła symbol lojalności. Wyraz „Polska” nie

---

schodził z ust Judaszom. Więc i ten wyraz stanął już wszystkim w gardle. Jeżeli ci „narodowcy“ chcieli wśród gminu roboczego zaszcześcić dawność, to rzeczywiście użyli wszystkich środków, aby tę dawność gminowi roboczemu obrzydzić. Patriotyzm, polskość, powstania, Kościuszko, Kiliński, legjony — wszystko to było tylko tłem, na którym w rzeczywistości wyszywano wciąż jeden frazes: „Zbrodnią będzie wszelki ruch!“ Kiedy wyobraźnię towarzyszków zapalały wypadki, jakie się rozgrywały w Petersburgu, w Rewlu, w Sewastopolu, w Charkowie, kiedy zwolna zasklepiła się dziejowa rana nienawiści do ludu rosyjskiego, kontrrewolucja ranę tę rozrywała na nowo i jątrzyła wymysłami: „Moskal was zdradzi“, „Moskal urządza tylko prowokację, aby tem łatwiej wziąć was potem za łeb!“ A równocześnie przychodziły wiadomości, jak się ta kontrrewolucja płaszczyła w Moskwie przed ziemcami, jak się wyrzekała sejmu ustawodawczego, zadawalniając się „lokalnym“, jak w swoich pismach występowała przeciwko powszechnemu głosowaniu, jak zwalczała wszystkie bezrobocia i jak haniebne stanowisko zajęła w sprawie bojkotu szkoły rządowej. Ale jeżeli się coś udało, natychmiast podawała to za swoje, zasypywała kraj chmurą odezw „o nowych zdobyczach“, wciąż udzielając dyrektyw, których nikt nie słuchał, a które

---

tylko spory partyjne zaogniały. Kiedy bezrobocie już się utrwaliło, ogłaszała, że jest ono jej dziełem; kiedy postanowiono je zakończyć, wieściła, iż stało się to z polecenia ich „komitetu narodowego“. Zupełnie tak samo postępowała teraz. Zwalczała nie-ludzkie wysiłki związku kolejowego. Turzym, stawiając sobie to wszystko przed oczy, zgrzytał zębami. Byłby prawdopodobnie już dawno sprzątnął niejednego z tych zdrajców, gdyby nie surowa dyscyplina partji. Otóż partja postanowiła teraz poprzeć związek kolejowy i wydelegowała z bojówki trzech swoich najdzielniejszych ludzi. Wsadzenie mostku nie było rzeczą tak łatwą, wymagało bowiem zimnej krwi, przezorności i przekradzenia się przez gęste patrole. Już dobiegała północ. Mniej więcej też w tym czasie, minawszy jeszcze kilka przejeżdżających patroli, przed którymi trzeba się było kryć w rowkach, skibach, kępach, dotarli do owego mostku. Zaraz też Sieczka cofnął się wstecz o dwieście kroków, a Turzym o tyleż kroków posunął się naprzód, aby dać baczenie, Swobodny zaś wszedł pod most dla dokonania tam swojej roboty. Trzeba było minę założyć albo pod belkę żelazną, albo w jaką framugę kamienną. Już prawie się był z tem załatwił, już i lont założył, kiedy nagle tor począł drżeć, zrazu lekko, potem coraz silniej. Swobodny wychylił

---

głowę i zawołał: „A co tam?“ Koło toru biegł pędem Sieczka i dawał jakieś znaki. „Kozactwo wraca“, zawołał. Swobodny z zimną krwią wyjął zapałki, potarł, błysnął ogieniek, lont się zajął i pykając palił się dość szybko. Tymczasem z drugiej strony nadbiegł Turzym, wołając: „Poniechaj, poniechaj przez miły Bóg!“ Swobodny popatrzył na niego uważnie, ale widocznie zrozumiał go, bo nagle chwycił kozik, lont przeciął, część palącą się rzucił do wody, a następnie szybko sam wlaź pod mostek. Turzym i Sieczka chyłkiem zbiegli do zagajnika i przez rozchylone krzaki śledzili, co się dzieć będzie.

A tu zdaleka dolatywał znany im dobrze świst, przeciągły, nie milknący. Z mętów mgły wynurzały się dwa ślepie parowozu, a trzecie ślepie, dziwnie jakoś na grzbiecie w górę obrócone, oświetlało dymnik i jeszcze jakiś przedmiot. Towarzysze nie mogli zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć, ta samotnie pędząca silnica, to światło na jej cielsku, to gwizdanie przeciągłe. Dopiero kiedy latawica zbliżyła się na odległość kilkuset kroków, zobaczyli, że powiewa nad nią czerwony sztandar. Oświetlał go reflektor lampy, przymocowanej do tylnej części dymnicy. Sam sztandar furkotał również u dymnicy, przymocowany do jej czoła i nasady. Sieczka w lot wyro-

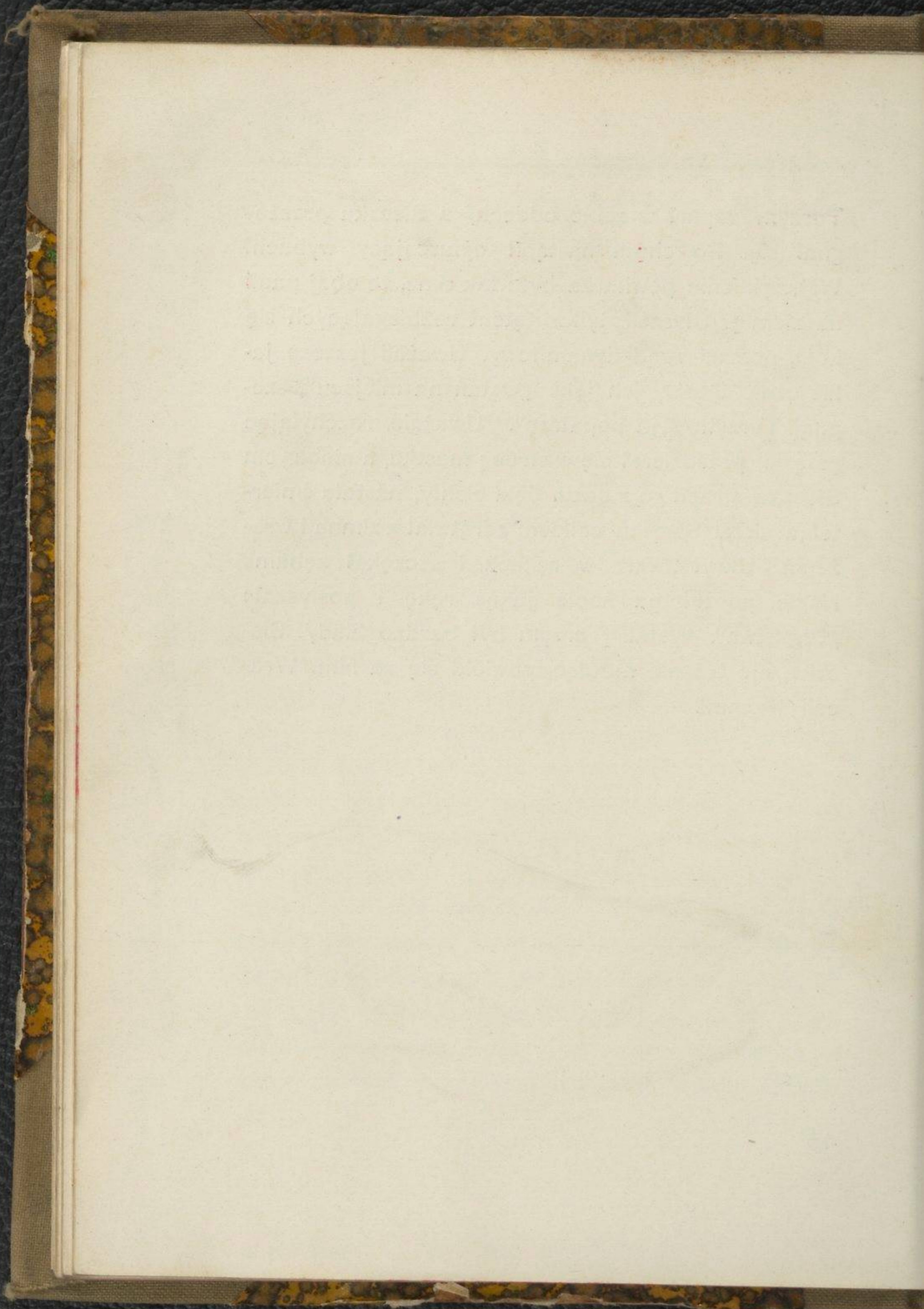


---

zumował sobie, że pewnie wobec przerwanej komunikacji partja wysłała rozkazy parowozem. Świsnął tedy dwa razy na „pozór“ w stronę Swobodnego, który mu tyłuż gwizdnięciami odpowiedział. Tymczasem z drugiej strony nadjeżdżali kozacy całym pędem. Zeskoczyli z koni, jeden chwycił wszystkie za cugle, a inni, ująwszy w ręce karabiny, oblegli tor i gotowali się. Latawica żelazna, świszcząc, buchając dymem i parą, świecąc rewolucyjnym znakiem u czoła, nadlatywała jak jakiś potwór przewrotu, jak zwiastun pożaru, który objął pół Europy i pół Azji. Groza, potęga, wielkość huczała tam po szynach, bliżej i bliżej, świst stawał się coraz wyższym, coraz donioślejszym. Wołał on: „Strzedz mnie!“ Już piekielnica rewolucyjna dobiega mostku, już zgrzytnęła po nim. Trzech ludzi stoi u jej rączaków. Kozacy zmierzyli się, strzelili. Jedno ciało z rękami wzniesionemi zważyło się na tor. Latawica przeleciała jak piorun, a świst jej stawał się coraz niższym, dalszym. Turzym ledwie zdążył szepnąć „Jezu“, kiedy się to wszystko już stało. Kozacy nahajami tłukli trupa. Potem go obszukali, zapalili latarkę i ruszyli w stronę mostku. Sieczka pociągnął towarzysza za rękaw. Popatrzyli sobie w oczy, i naraz obaj przybledli. Kozacy, uwiesiwszy latarkę u poręczy mostku, przeglądali papiery trupa. Wtedy

---

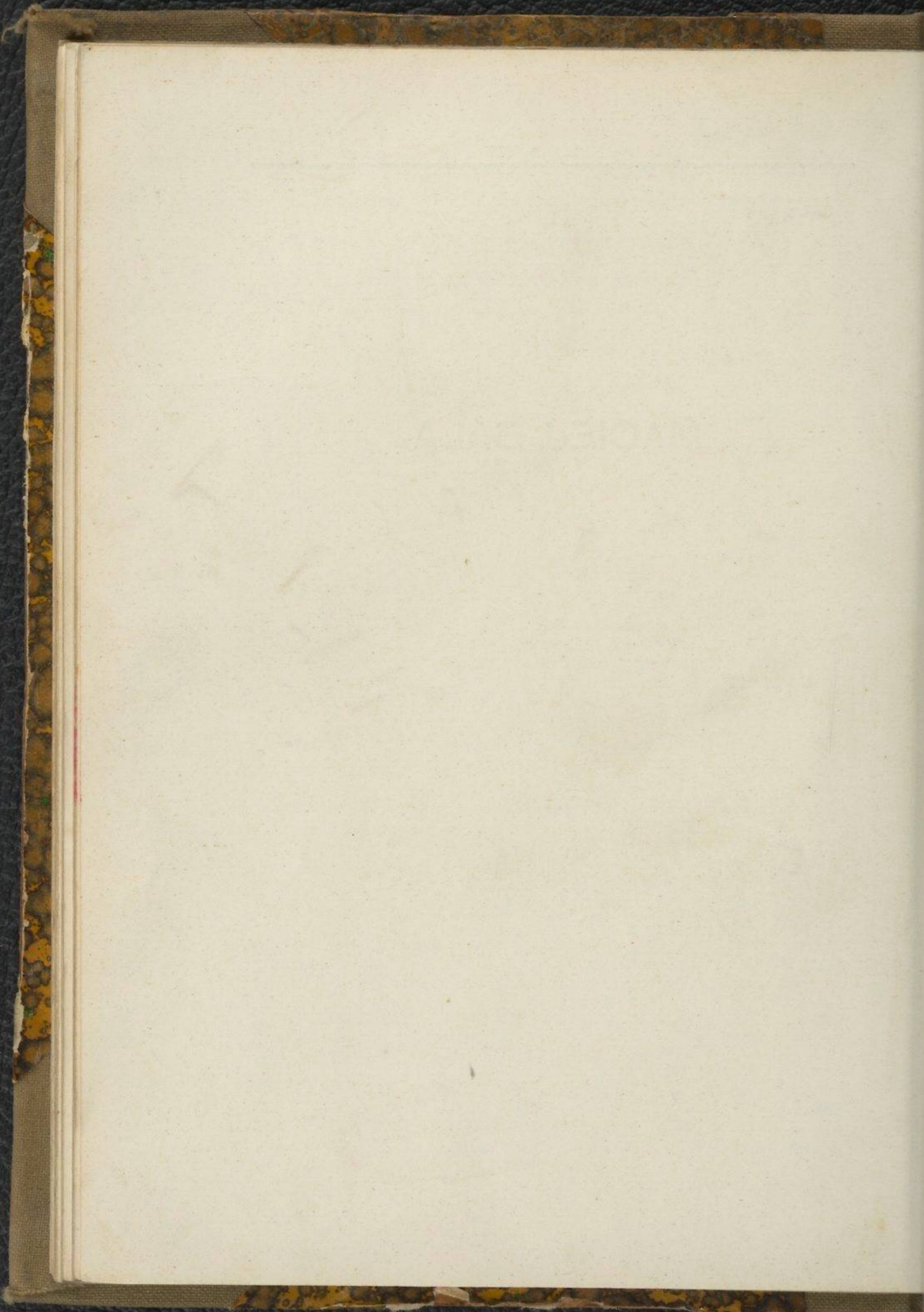
Turzym zaparł w sobie oddech, a Sieczka przeżegnał się. Po chwili nastąpił ogłuszający wybuch. Wstrząśnienie powietrza było tak silne, że obaj padli na ziemię. Słyszeli tylko tętent rozbiegających się koni, poczuli swąd dynamitowy. Uważali jeszcze jakiś czas. Doszły ich jęki. „Ostań na miejscu“, szepnął Turzym, „ja popatrzę“. Uważnie, rozchylając gałazki, przedzierał się w stronę mostku, a niebawem Sieczka stracił go z oczu. Jęki cichły, nastąpiła śmiertelna cisza. Sieczka całkiem zdrętwiał z zimna i wrażenia. Ukrył twarz w rękach i szcząkał zębami. Nagle poczuł na sobie jakąś rękę i posłyszał: „Chodźwa“. Wstał. Turzym był bardzo blady. Sieczka, nic też nie mówiąc, powłókł się za nim. Wracali — sami.



---

**Szanuj książkę!**

MACIEJ BALA.





Maciej Bala był zaciętym socjaldemokratą. Niski, krępy kowal, o mięśniach Cyklopa a sinej twarzy mistyka, nie lubił dużo gadać a właśnie musiał dużo gadać. Musiał, bo mu w hucie dokoła rosło to pepeśnickie mrowie i poprostu bebecchy odwracało tem ciąglem wyjeżdżaniem z osobną konstytuanta dla Warszawy. Partja Bali zgodziła się wprowadzić na autonomję z osobnym sejmem; nie przyjęła tylko tego ostatniego punktu międzystronniczej platformy. Bala, karny partyjnik, milczał, ale zżymał się na te, jak mniemał, małoduszne ustępstwa. Ilekroć wśród towarzyszków zabierał głos, zawsze Pepees nazywał endecką kontrrewolucją. Kilka razy srodze go za to obito a raz nawet złamano mu dwa żebra. Wypadek ten nie tylko go nie otrzeźwił, ale przeciwnie, jeszcze bardziej rozjuszył przeciwko wszystkiemu, co choćby trochę trąciło polskością. „Niema żadnej Polski“, krzyczał na masówkach, „jest tylko jedna, wielka, święta, międzynarodowa sprawa robotnicza!“ „Hańba mu“, huczało z jednej strony, „niech żyje“, wołano ze strony drugiej. A Bala, zlany potem, blady, wykladał artykuł za artykułem międzynarodowej solidarności proletariatu, podobny do żarliwego apostoła z pierwszej doby chrześcijaństwa, na którego czole świeci

---

płomieniem tajemnica odległych tysiącoleci. Kiedy razu pewnego jeden cekaerowiec mówił o stanowisku kościoła do rewolucji i kiedy wyliczał, że „kościół był zawsze przeciwny nauce, zawsze był przeciwny republikom, zawsze był przeciwny udziałowi ludu w rządach“ i kiedy jakiś endek, oparty o ścianę, za każdym słowem wtrącał: „nieprawda — nieprawda“, Bala, trzęsąc się cały, podsunął mu potężną pięść swoją pod sam nos i huknął: „Prawda — psiamać, prawda — słyszysz, prawda!“ Nieraz porywała go głucha furja, gdy przechodząc Książęcą albo Nowym Światem słyszał na piętrze drugim, czy trzecim, fortepianowe akordy przerobionego na marsz tryumfalny Mazurka Dąbrowskiego, albo gdy przez szybę cukierni ujrzał na torcie, pokrytym różową cukrowiną, śmietankowego ptaka z królewskim berłem i jabłkiem w rozczapierzonych pazurach a pomarańczowej koronie na łbie. „Wszędzie teraz ta biała gęś“, mruzczał i nieraz brała go chętka uderzyć pięścią w wielką ścianę szklaną, co byłby na pewno uczynił, gdyby nie bibuła, jaką miał zwykle przy sobie a dzięki której nie mógł wszczynać awantur, narażających go na aresztowanie i rewizję. Kiedy w kościele katedralnym po sumie lud zaintonował „Boże coś Polskę, Bala, zaraz przerwawszy pacierz, przeżegnał się, wstał, a potem, wsadziwszy wskazu-

---

jące palce w gębę, świsnął przeraźliwie. Zrobił się straszny zamęt, zwłaszcza że i ksiądz, wybiegłszy przed ołtarz, począł wymyślać od socjalistów i groził wezwaniem policji. Bala drugi raz wsadził palce w gębę i świsnął w stronę księdza. Jedni szli z pięściami na niego, drudzy nie mniej groźnie parli się do ołtarza. Bala na jednych i na drugich krzyknął: „Endeckie bydło!” Organista, podchwyciwszy skinienie ręką księdza, zaczął grać „Pod Twoją Obronę”, lud śpiewał coraz gromadniej „Boże coś Polskę”, rozległy się huki „hańba” i „niech żyje” — a Bala, ujawszy się pod boki, siny na twarzy, z nabrzękłymi żyłami gardła, wrzeszczał na cały kościół: „Byyy-dłooo een-deee-ckieeee!” Raptem ktoś krzyknął: „Kozacy!” Fala ludzi buchnęła do drzwi a Bala porwany jak liść potokami wezbranej rzeki, płynął to przodem do ołtarza, to tyłem, wciąż wrzeszcząc, aż do ztrataty świadomości: „Byyy-dłooo een-deee-ckieeee!” Sam dobrze nie pamiętał, jakim sposobem znalazł się na Zapiecku. Już się mroczyło. Latarnie paliły się słabo z powodu bezrobocia w gazowni. Po gniewnym szale opadła go jakaś miękkość a także wyrzuty sumienia, że zrobił awanturę w kościele. Napróżno mówił sobie „ksiądz też świnia”. Napróżno burzył się „bydle, policję chciał przyzywać na lud!” Zawszeć — kościół. Jeszcze starał się przygłuszyć wy-



---

rzut sumienia tem, że „rewolucja nie zna żadnych kościołów“. Ale coś mu tam wciąż świdrowało, że pluł na obie strony, gdy szedł, aż musiał komuś, co się na niego obruszył, powiedzieć: „Przepraszam“. Gwizdać w kościele, zawsze to człowiekowi niezwy- czajna rzecz. Bala po wierzchu duszy jeszcze mówił sobie „o wa!“ Ale spodem duszy już mu tam szem- rało: „Swoją drogą wyśpowiadasz się z tego“. Ale przed kim? Gdzie znajdzie takiego księdza, co by go zaraz nie zapytał: „A mój kochanku, nie jesteś ty czasem socjalista?“ Łgać przecież u świętego kon- fesjonału nie będzie a ksiądz zaraz wstanie i krzy- knie na cały kościół: „Won mi od progów bożych, masoński szatanie!“ Żeby to człowiek wiedział przy- najmniej, gdzie są te masony, toby z rozpaczy już do nich przystał, bo jak wisieć, to przynajmniej za obie nogi. Bala był bardzo zmartwiony. Ono gwizd- nięcie przez palce nie mogło mu zejść z pamięci. Kiedy się to on tak nauczył gwizdać? Aha, w sier- peckiem, jak pasał żrebaki. Ojciec zginął w po- wstaniu pod Łapinożem, gdzie ich tam wystrzelano co do jednego. Wcale go nawet nie pamiętał, choć go inni często wspominali, pocichu wprawdzie, ale z nabożeństwem. Matkę, gdy była w połogu, ekonom skopał i zbił dąbczakiem, że nie chciała iść do roboty i jeszcze odgryzła się: „Oho, teraz już

---

z pańszczyzną koniec!“ Niebawem też po tem pobiciu zmarła. I jej biedne chłopię nie pamiętało. Ale że to zaraz potem nastaly inne czasy, dzie- dzic się trochę zląkł i nakazał, aby się dzieckiem zaopiekowano. Przeznaczono go do stadniny. Marzył tylko o tem, żeby się tak nauczyć gwizdać „bez pa- lice“, jak on Wojtek-zabijak. Toteż nauczył się tego w samotności przy źrebakach. Niekiedy zdarzało się, że tuż przy smugu, gdzie się źrebactwo pasło, na rżysko owczarz spędzał owce. Tedy w rowie siadali obok siebie, owczarz, stary mądrala, i Maciek, ko- niucha. Owczarz wzdychał, patrzył na chłopaka i mó- wił: „Ej, Maciuś, żebyś ty wiedział, czyjeś ty dziecko!“ Maciuś otwierał usta pytająco, a owczarz mówił mu o „Polakach“, „Powstańcach“, „partji“, o Łapinożu, o ludziach poległych za „sprawę“. Czasem popłakał się a wkońcu, gdy już łzy otarł, mówił w stronę Maciusia: „Ty ta jeszcze smarkaty, to niewiela z tego pojmujesz, aleć przyjdzie czas!“ Niekiedy śpiewał mu też różne piosenki a więc: „Stoi ułan“, więc „Mówi ojciec do swej Basi“ i inne. Maciuś bezwiednie wyuczył się wszystkich, tylko mu jakoś potem nigdy nie chciały przez gardło przechodzić. Kiedy po wyj- ściu z wojska znalazł się na bruku wielkomiejskim, kiedy wstąpił do fabryki, kiedy zapoznał się bliżej z bibułą, dawne te czasy miały dla niego jakiś zły

---

blask krzywdy, sieroctwa wiecznego, wiecznego wydziedziczenia. Nienawidził panów i nienawidził popularnych chłopów, co się każdemu w pas czapą kłaniali i lada surdutowe bydle lizali w łapę. Nienawidził wspomnień dzieciństwa, które jak nigdy nie więdnące wieńce okalają głowy starców, gdy leżą już na łożu śmiertelnem. Grzmiąca huta i piekło jej ruchu, socjalizm, masówki, przemówienia, pochody z rozwiniętym czerwonym sztandarem, wielkie ideały międzynarodowego proletariatu — czem wobec tego były one dziecięce wspomnienia! Powstanie, w którym zginął jego ojciec, toć to, jak słusznie stało w bibule esdeckiej, jeno odruch starego gniotu pańszczyźnianego a ojczyśko ani się na tem nie poznało, jeno szło ślepo za panami. Byli ci tam wprawdzie esdecy, co i na to inaczej patrzyli. Ale to już nie czysta esdecja. Ten owczarz ze swemi piosenkami!... Niema żadnych innych piosenek, jest tylko jedna, na której — robotników krew!... Nie zginęła... Kiedy robotnicy tyle krwi przelali, oto endeckie urządztwo nagle wylazło z nor swoich, rozwinięło sztandar z Matką Boską i z Białym Orłem a śpiewało: „Nie zginęła, póki my żyjemy!“ Jakie „my“? Gdzie „my“? A gdzieście to byli, gdy się lała krew przy Dworskiej, na Teodora, na Złotej?... Nie było z was ani jednego!... Dopiero kiedy lud wam otworzył na ścię-

---

żaj ulice, oho, wyległo to i teraz śpiewa, że nie zginęła, bo oni żyją!... Wy tam nie zginiecie, to już gadania nie ma, bo potraficie dobrze się chować... Białę otrząsało. Już mu wogóle przykrzyło się życie. Do tego wszystkiego przybyło jeszcze ono gwizdanie w farnym kościele, gdzie wisi przecież cudowny Pan Jezus. Taki chmurny, czarny, jak obłok dymu. Na Podwalu, na które teraz Bala wstąpił, roilo się od ludzi. On na nic nie zważał. Myśli jak mrówki chodziły mu po głowie całymi gromadami a wszystkie jakoś drażniły go onem gwizdaniem. Bala pomyślał sobie: trzeba wymyśleć sobie jaką pokutę. A przedewszystkiem zrobić akt skruchy. Z Podwala wydostali się na Senatorską. Wszyscy maszerują jakby w takt a gdzieś daleko słyhać pieśń. Bala mówi sobie: wpadłem w endecką demonstrację! Ale już dziś nie chce się burzyć, już ma dość tych awantur. Powietrze drga od głosów. Białę ciarki przecho-  
dzą. Przecież Pan Jezus, gdyby tu zszedł na ziemię, zapłakałby rzewnemi łzami nad ich niedolą. Cóż Pan Jezus winien, że trafił się taki ksiądz! Pieśń wzbiera z coraz większą siłą. Bala nie wie nawet, kiedy począł nogi stawiać w takt. Raptem przez tłum przedziera się do niego stary owczarz. Ogorzałe lica zapłakane, ściska go i mówi: „Maciuś, patrz,

---

przyszedeł czas a ty już nie smarkaty!" Bala się przeżegnał, widmo znikło. Huczy kamienny parów ulicy. Wali człowiek przy człowieku, stąpa na „raz, dwa". Fala ludu i fala śpiewu porywają go. Maszeruje jak automat a nawet już otwiera gębę, tylko głos mu nie chce przejść przez gardło. Teraz już nawet przechodzi. Bala, blady, z oczyma o jakimś zaświatowym blasku, stąpa na „raz, dwa". Nagle buntuje się w nim wszystko, chce stanąć, krzyknąć „endeckie bydło" — ale znowu widmo stanęło przed nim, uściśnęło go za szyję i oto na samym języku słowa zamieniły mu się na coś całkiem innego. Dziki, chrapliwy ryk dobył mu się z krtani, żyły na gardle nabrzęły jak powrozy, zaczął wyc nie ludzkim głosem: „Da nam przykład"... Ktoś chwycił go za bary, potrząsnął nim silnie i wrzasnął: „Maciej, zwarzjowany bydlaku!" Był to cekaerowiec. Ale nagle fala porywa obu, robi się jakieś zamieszanie, słyhać wrzawę: „Ludzi tratują!" Fala tłumów wzdyma się, bucha z Trębackiej na Krakowskie Przedmieście i jękliwie rwie ku Nowemu Światu. Bije czerwony blask. Mijają spiżową postać człowieka, trzymającego rękę na sercu. Bali się zdaje, że człowiek ów w sukmanie i że po tej sukmanie cieknie krew. A tam w dali głowa przy głowie od Zygmunta do Kopernika, jakby się na dwa łokcie podniósł bruk ulicy i niby rzeka szo-

---

rował. Huknęły strzały. Fala ludzka drgnęła, pryska na wszystkie strony i znowu wali naprzód. Bala już nie wie, gdzie się znajduje. Bzyknęło mu raz coś koło skroni. Znowu bzyknęło. Ścisk niósł go długo, kilka razy o mało nie padł, to znowu jakby jechał na cudzych plecach. Aż zluźniło się trochę, już i ręce swobodne, już może nie biedz, ale iść. Gdzież jest? W pobliżu ogrodu Botanicznego. Jest sam jeden. Wrzawa w dali i strzelanina okrutna, wycia i jęki. Bala oprzytomniał. „Aha, było endeckie!“ Dudni bruk, od Belwederu leci konnica wyciągniętym galopem. Mignęła, otarła się o Balę swoim wiatrem i tylko jak młoty wałą w dali kopyta „trach — trach“. Bala przytulił się do żelaznego parkanu. Dotyka czoła, bo mu tam coś ciepło. Krew. Łaził potem jeszcze coś dwie godziny po zaułkach, nim trafił do domu. Nazajutrz z wielkim skandalem wyrzucono go z partji. Bala uznał zupełną słuszność tego wyroku. Potem, gdy sobie wszystko rozważył, mruknął: „Jużem chyba tylko zdatny na — stop“. Ale pomimo to pozostał partji duszą wierny. Nie czekał długo. Już w kilka dni później, gdy na Powiślu rozpoczęła się pukanina między jego towarzyszami a wojskiem, przyłączył się i zginął od kuli karabinowej. Gdy go przed wydaniem ostatniego tchnienia otoczyli lekarze

---

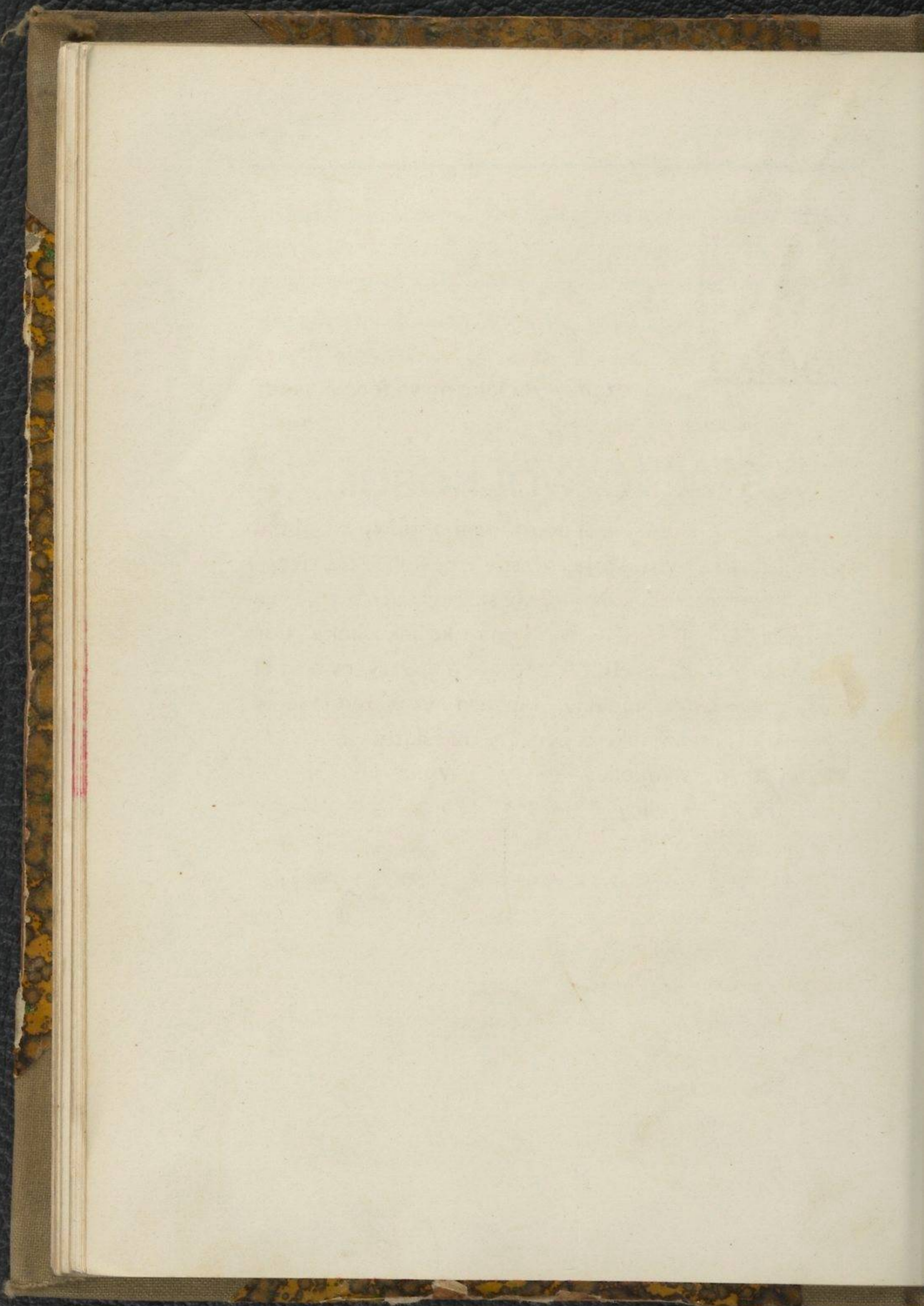
Pogotowia, któryś ze Solca podszedł, pochylił się nad nim i zapytał życzliwie: „Bala, znowuś nasz?” A Bala, ścisnąwszy mu kurczowo rękę, szepnął resztką ulatującego tchu: „Wierny... jak... pies”.

---

ŚWIĘTO WOLNOŚCI.









arszawa od samego rana była jakby w gorączce. Tłumy gromadziły się we wszystkich dzielnicach miasta. Ta sama konstytucja, która do niedawna jako sama idea budziła we wszystkich odrazę, zohydzana była jako nowa forma ugody, niebezpieczniejsza od ugody carokłonnej wyższego kleru, wyższej szlachty i wyższych finansów, dziś, jako rzeczywistość, na dnie sumień dojrzała, zapalając wyobraźnię wszystkimi majakami wolnościowymi. „Sejm w Warszawie, autonomja, własne wojsko“ — oto czarodziejskie wyrazy, które obiegały szeregi ust stokroć częściej, niż kromka suchego chleba i kubek mleka. Lud, wygłodzony, wychudły, spożywał pierwszy owoc wolności, ów owoc idealny, niekarmny a jednak tak ożywczy. Jeszcze około godziny dziesiątej rano padły cztery trupy w okolicy Prostej i Walicowa, a już po kwadransie w ulicy Twardej, gdy wojsko oddało honory czerwonemu sztandarowi, porywano na ręce oficerów, ściskano się z żołnierzami i fala niesłychanego entuzjazmu jak potok uniesienia wiosennego rozlała się po wszystkich ulicach, placach i skwerach. W jednym tylko domu przy ulicy Browarnej panowała żałoba. Bo nareszcie przez konsulat amerykański przyszło pismo od rządu japońskiego, w którym donoszono, że podchorąży pułku strzelców, Jan

---

Białobrzieski, pod Wafangau poległ śmiercią walecznych. Do listu był dołączony maleńki plan sytuacyjny cmentarzyska polowego a czerwony krzyżyk oznaczał miejsce grobu bohatera. Pismo zapewniało stroskaną matkę, że na grobie umieszczono krzyż z właściwym napisem i że żołnierze japońscy, szanując waleczność nieprzyjaciela, ozdobili mogiłę złoconiami. Dodano nawet do tego szczegółowego, choć treściwego i w stylu wojskowym utrzymanego raportu, kilka słów serdecznego pocieszenia i zaświadczenie, że „nieboszczyk spełnił swój obowiązek względem rosyjskiej ojczyzny“. Ten tragiczny dodatek sprawił, że pani Białobrzieska, doczytawszy list do owego miejsca, kurczowo zacisnęła ręce, list niemal bezwiednie zmięła, przestała płakać, wpatrzyła się głucho w przestrzeń i dopiero nieco oprzytomniała, kiedy posłyszała szlochanie obejmującego ją za nogi młodszego syna, ucznia klasy piątej, jasnowłosego Henryczka. Unosząc trzęsące się ręce i kładąc je na głowie jedynejuż dziecka, wspominała, że mąż zginął w powstaniu, że odtąd co wieczór gorąco się modliła, aby nie dożyła następnej rewolucji w Polsce, nie żeby jej miało nie być, tylko żeby jej dane było umrzeć wcześniej, że Bóg jej nie wysłuchał, bo nie tylko przyszła rewolucja, ale o wiele od wszelkich rewolucji okropniejsza wojna na dalekiej obczyźnie,

---

o której zaledwie z nauki szkolnej coś wiedziała, a która teraz otworzyła zimne łono, aby w niem zamknąć biednego Janka. Tymczasem w ulicy zawrzało i z tysięcznych piersi uniosła się zwrotka rewolucyjnego chorału: „Precz z tyranami, precz z zdziercami!“ Pani Białobrzaska kurczowo zacisnęła ręce dokoła szyi Henryczka, poczęła drżeć na całym ciele, chciała go prosić, aby z domu nie wychodził, ale czuła, że go tem nie powstrzyma. Więc rzekła tylko: „Henryś, nosisz ty przy sobie dowód legitymacyjny? Bo widzisz, żebym mogła przynajmniej potem ciebie odnaleźć!“ Chłopak szybko otarł twarz, zalane łzami oczy świeciły błyskawicami młodości, obsypywał matkę pocałunkami i chwytając oddech prosił: „Mamusi, pójdźmy razem, razem, mamusi, na powietrze, między ludzi, zapomnieć o wszystkim, o tym grobie dalekim, o tych złoceniach, o tym liście, o tym napisie“. Tu nagle twarzyczka powlekła mu się barwą popiołu i dodał, patrząc w podłogę: „A także o jego bohaterskiej śmierci za — ojczyznę...“ Na co pani Białobrzaska, szybko powstawszy, zakryła na chwilę twarz a potem zaczęła się szybko zbierać. Podarła na drobne kawałeczki list, potem otwierała różne skrytki, jeszcze jakieś papiery niszczyła, potem wszystko skrętnie pozamykała i z twarzą jakby kamienną rzekła: „Po-

---

daj mi ramię, Henryś". Wyszli na schody, ze schodów na ulicę. Ale już pochód zniknął w górze, kierując się ku śródmieściu. Nie rozmawiali ze sobą wcale. Na ulicy Nowy Świat natknęli się na nowy pochód. Niesiono olbrzymich rozmiarów sztandary czerwone z napisami: „Niech żyje Polska Partja Socjalistyczna“. Sztandary te były rozpięte na dwóch tykach, aby napis był zdala dla wszystkich widny. Pojawiały się też sztandary z innymi napisami, a więc: „Niech żyje wolna republika demokratyczna“, „Niech żyje polska młodzież socjalistyczna“. Policja znikła zupełnie z ulic. Gdzieś tam stały małe oddziały wojska. Do żołnierzy podchodzili robotnicy i przemawiali, żołnierze zaś uśmiechali się. Jakiś robociarz podlaźł i zaczął gadać: „No, strzelaj psiajucho, widzisz, ilu nas tu jest! Nie strzelasz? Aha, skończyło się ze strzelaniem! To daj, psiakrew, łapę na zgodę, słyszysz?“ Żołnierz i robociarz podali sobie ręce, a tłum krzyknął: „Niech żyje wolność!“ Pani Biało-brzeska widziała takich scen wiele. Słuchała także ulicznych mówców, którzy stawali na pierwszym lepszym wzniesieniu i wygłaszali płomienne odezwy. Zabierali głos na ulicy starzy i młodzi, panowie i studenci, robotnicy a nawet dzieciaki uliczne. Wszyscy pozamieniali się w innych ludzi. Pani Biało-brzeska popołudniu przyłączyła się do olbrzymiego

---

pochodu „narodowego“, śpiewała „Boże coś Polskę“, „Jeszcze Polska nie zginęła“. Zauważyła, że dokoła pochodu uwijali się robotnicy z czerwonymi kokardkami. „Z jakiej wy partji?“ zapytała. „My z pepees“. „A co tu robicie?“ „Pilnujemy, aby się endecji jaka przykrość nie stała“. Na to pani Białobrzaska, która się zawsze zżymała na Henryka, ilekroć jej wykladał zasady walki klas, nacisnęła mu ramię i wysunęli się z pochodu. Właśnie Trębacką ciągnął tłum robotniczy. Kobięcina przedzierała się z synem w tamtą stronę a kiedy znalazła się w szeregach proletariatu, zaczęła razem z wszystkimi śpiewać: „Choć stare łotry, nocy dzieci, nawiązać chcą starganą nić, co złe, to w gruzy się rozleci, co młode wiecznie będzie żyć“. Już dobrze szarzało, a ona nie czując wcale zmęczenia a raczej czując je jako niezmierną ulgę, szła z wszystkimi pochodami, wtórzyła wszystkim pieśniom a nawet pobudce „Na barykady“, choć najbardziej poruszyła ją „Warszawianka“, z którą tłum wkroczył na Plac Teatralny. Już tam otaczano Ratusz, domagając się wypuszczenia na wolność więźniów. I rzeczywiście, co jakie dziesięć minut otwierała się brama, więźniowie wychodzili grupami a tłumy witały ich wybuchami radości. Jeszcze czekano długo, bo ktoś krzyknął, że nie wypuszczono wszystkich. Wtedy przed bramę wyszedł jakiś dygnitarz i oświad-

---

czył, że dziś reszta wypuszczona być nie może, gdyż nie obejmuje jej amnestja. „Precz z amnestją“, zawrzały tłumy, „sami sobie dajemy amnestję“. Coraz groźniejszy wark szedł po tłumach. „Precz z rządem“, wołano, „wysadzić bramę ratuszową!“ Niewiadomo, skąd i jakim sposobem, rozwinął się nagle łańcuch żołnierzy. „Rozchodź się, panowie“, wołali dość jeszcze grzecznie oficerowie policyjni. Ale ścisk około bramy ratuszowej stawał się coraz większy. Właśnie od Senatorskiej napływał nowy pochód z pieśnią rewolucyjną. Pani Białobrzaska, trzymając Henryczka silnie pod pachę, cofnęła się nieco w stronę Gmachu Teatralnego. Stał tam w pogotowiu oddział huzarów. Oficer, piękny mężczyzna, okiem mustrował szeregi, potem wyjechał przed front i bacznie nasłuchiwał. Gdzieś, jakby z okna ratuszowego, rozległ się krótki sygnał trąbki. Wtedy oficer zdjął czapkę, pokłonił się tłumom i zawołał: „Pozdrawlaju was z konstytucją“. „Hurra“ odpowiedziały tłumy. Oficer zaś nasadził z powrotem czapkę, dobył szabli, zakomenderował: „Biej“ — i nagle ów mur konnicy drgnął, zadudnił bruk i jak grom spadło to na nieprzygotowane tłumy, siekąc, tratując, bodąc końmi ruchliwe morze ludu, które nappełniło się jękami, krzykami, ustępowało, gniotło się, w panicznym strachu uciekając na wszystkie strony. Pani Biało-

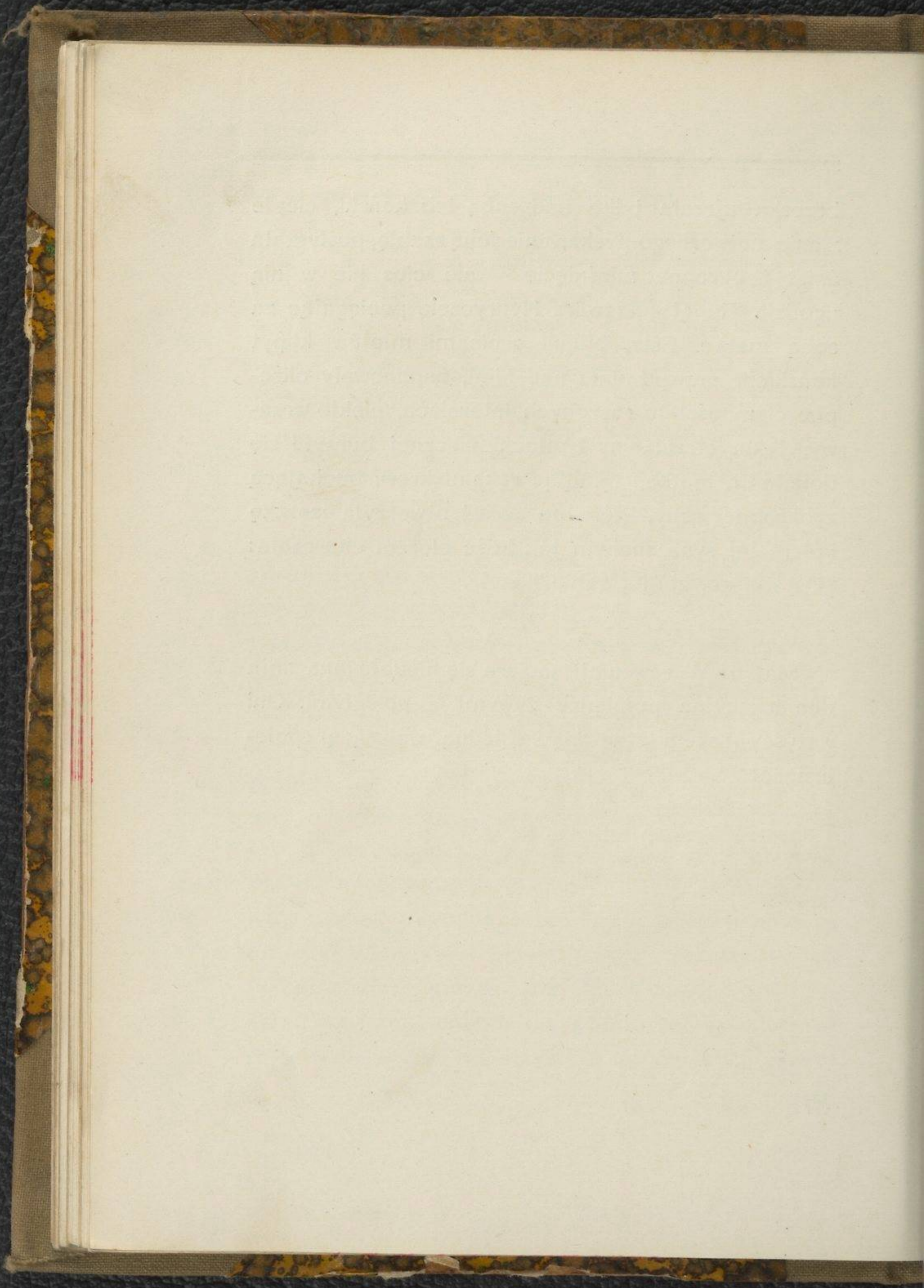
---

brzeska ujrzała tylko nad sobą łeb koński, ciepłe zianie potwornego pyska, uniesioną szablę, postyszała świst i okropne mlaśnięcie — ale cios nie w nią ugodził. Runął na twarz Henryczek, pociągając za sobą matkę. Fala, bijąca secinami młotów kopyt końskich, przegrzmiała nad nimi, zapanowały okropne ciemności po gaszonych latarniach, piekło wrzawy, jęku, strzelaniny i młocki siecznej burzyło się dokoła, a matka, tamując rękami krew, buchającą z okropnej rany, która na oścież otworzyła czaszkę i pierś jej syna, suchym jak kość głosem charczała: „Ostatniego, zbóje, zabili!“

---

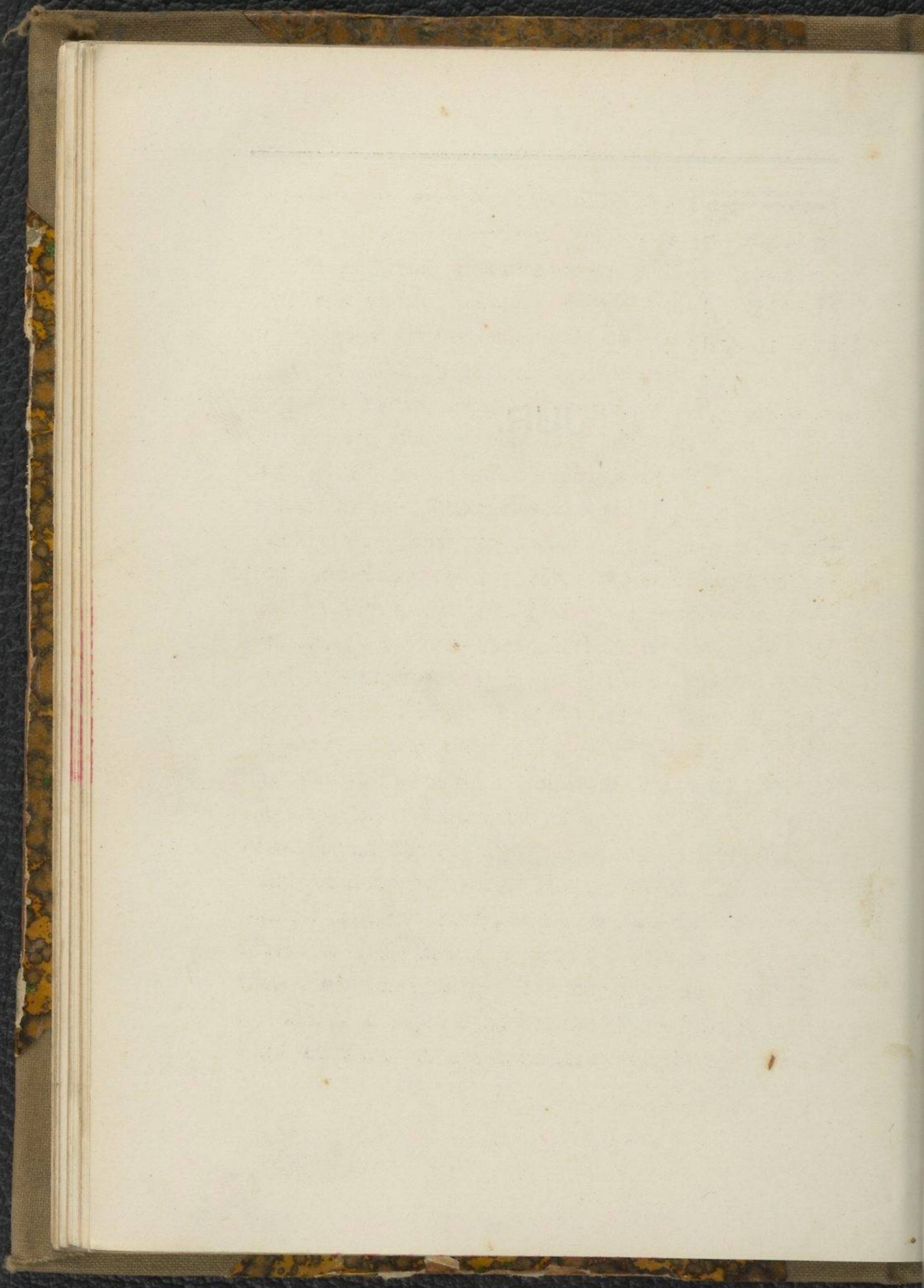
Matko! W rewolucji zaciera się nieubłagana linja demarkacyjna pomiędzy żywymi a poległymi. Oni wszyscy razem stanowią — jedną walczącą społeczność!





---

JUR.





ojciec jego był pułkownikiem „fijołków“ a wuj naczelnikiem Tajnej Ochrony. Tego pięknego pochodzenia zazdrościł mu niejeden kolega a zwłaszcza Bazyli, syn Antoniego, Paszczenko. Nieraz też mawiał do niego: „Ej, Jur, Jur!“

A więcej nic nie powiadał, tylko wzdychał, kiwał głową i patrzył mu znacząco w oczy. Na to Jur zawsze: „Ej, świnia, świnia!“ Bazyli się nie obrażał, gdyż powiedział sobie tak: „Bazyli, synowi rewirowego niewolno się obrażać na syna pułkownika!“ Chodzili do siódmej klasy pierwszego gimnazjum, które w swych assyryjsko-bizantyjskich murach skupiło wszystkie latorośle warszawskiej urzędniczej kamaryli. Kiedy w dzień uroczysty rozdawania świadectw ojcowie i dzieci zbierali się w auli, kiedy katedrę, na której stał, jak się wyrażał Jur, oberłotr, oblegał kwiecisty orderami wieniec wszystkich tajnych i rzeczywistych radców stanu, za plecami Bazylego rozlegał się zawsze szept: „Paszczenko, jedna bomba co? Jakiby tu ona śliczny porządek zrobiła!“ Bazyli krzywił się żałośliwie, groził wybacząco palcem niesfornemu koledze i nieraz już zamierzał rozmówić się sprawiedliwie z szaleńcem, który miał przed sobą świetną przyszłość a mógł być zejść na bardzo złe drogi. Bazylemu nietyłe właściwie cho-

---

dziło o tego szaleńca, ile o siebie. Bo jako syn zwyczajnego rewirowego nie wdrapałby się nigdy na wyższe szczeble, czy to administracji, czy sądownictwa, czy wojska, tymczasem poparcie tak ustosunkowanego Jura mogło go jak balon wynieść ponad poziomy. Patrząc tęskliwie w oczy Jura, powiadał nieraz w myślach: „Jur, tyś opoka i na tej opoce zbuduję swoją karierę“. Ale opoka, gryziona kwasem buntu, kruszyła się coraz bardziej, aż przyszedł czas, w którym Bazyli musiał sobie powiedzieć: „Jur po prostu jest — niepewny“. Nie wiedział, czy ma się przenieść do innej ławy, czy rozmówić się z gospodarzem klasy. Bał się. Nie uwierzą mu, a choćby i uwierzyli, sprawę zamażą. Kto ma takiego ojca i takiego wuja, ten może — liberalizować. Bo cóż? Przeniosą go na jakiś czas do Woroneża, do Odessy, do Symferopola, a syna rewirowego — kopną i polecą! Bazyli był w rozpacz. Razu pewnego spotkali się na ulicy. „Jur“, zaczął błagalnie Bazyli, „żebyś ty tak chciał ze mną szczerze pogadać!“ Jur milczał. Skierowali się w stronę Żelaznego Mostu. Bazyli biadał: „Nie uwierzysz, Jur, ile ty mi zmartwień przysparzasz. Ty, taki kochany, taki nasz, taki ruski człowiek, a czasem wygłaszasz rzeczy okropne“. Jur wciąż milczał, a Bazyli coraz bardziej się ośmielał: „Słuchaj, Jur. Czy ty zastanowiłeś się nad tem, czem się

---

to może i musi skończyć? Patrz tam, daleko po Wiśle, na lewym brzegu, ten gmach różowego koloru. Patrz też w drugą stronę; złocą się kopuły nad miastem. Czy zastanowiłeś się kiedy poważnie nad tem, że musisz wybrać pomiędzy jednym gmachem a drugim? Tam w górze — uznanie, los, zaszczyty, tam w dali — dola więźnia a może i szubienica“. Jur wciąż milczał. Twarz mu spoważniała. Może po raz pierwszy nie miał na niej owego szyderczego uśmiechu, który Bazylemu zawsze odejmował wszelką odwagę do poufnych zwierzeń. „Jur, przyjacielu mój jedyny“, ciągnął dalej Bazyli, „tyś dzieckiem, sam tego nawet nie rozumiesz, ty to nie ja, syn biedoty i poniżenia. Bo cóż mnie czeka? Ot, zostanie człek starszym cenzorem, ot na przykład — czem jeszcze? Komisarzem dla spraw włościjańskich. Dalej ani rusz. A ty? Będiesz nosił płaszcz z czerwoną podszewką, Jur. Wielkim panem będziesz, Jur, cała pierś w orderach!... Widzisz, Jur, świat ci się będzie kłaniał a ty pomyśl czasem o kolegach, którzy na ciebie liczą. Ot, twoje obowiązki, Jur! A tymczasem nurtują cię niedobre myśli. Liberalizujesz. Kto nie liberalizował! A czem się to zawsze kończyło? Nie chcę nawet mówić, czem, tylko powiem — fatalnie się kończyło. I nie może być inaczej. Patrz, burzy się wszystko dokoła, bo na Rosję przyszła ciężka chwila.

---

To zawsze tak. Zaraz się ludziom w głowie przewraca. Ale trzeba zachować zimną krew, trzeba zachować rozum, nie dać się porwać różnym prądom zdradzieckim, mogącym doprowadzić człowieka i jego najbliższych do ruiny". W ten sposób Bazyli mówił długo, poruszał bieżące wypadki, sprawę wojny na Dalekim Wschodzie, zastanawiał się nad wrzeniem rewolucyjnym w Inflantach, na Kaukazie, w Kraju Przywiślańskim. Jur przerwał mu nagle: „Czy wiesz, Bazyli, że młodzież polska postanowiła bojkotować szkołę rządową?" Bazyli aż przystanął. A Jur mówił dalej: „Co sądzisz, Bazyli, jakie stanowisko powinniśmy zająć wobec takiego historycznego faktu?" Bazyli zdrętwiał. „Ty jesteś wielka świnia, Bazyli", mówił Jur, „ale niejedna wielka świnia, gdy nad nią trochę popracowano, stawała się z czasem całkiem zacną istotą ludzką a nawet cennym działaczem społecznym. Wszystko, co mi tu gadałeś, Bazyli, dowodzi tylko, że dotąd nie wyrosłeś myślą ponad dziesiąty cyrkuł. Widzisz, na nas obu ciąży plama pochodzenia. Ja jestem synem żandarma, ty synem policjanta. Taką plamę można zmyć tylko jednym odczynnikiem a kolor jego jest... czerwony. Tak, Bazyli, to trzeba sobie nareszcie powiedzieć jasno i wyraźnie. A teraz wiedz, że na takich jak ty przyjdą ciężkie czasy. Będziemy was spławiać w nurtach tej

---

rzeki skradzionej, będziemy was wieszali na tych topolach nadwiślańskich, będziemy z was oczyszczali tę polską ziemię, którą dotąd umieliśmy tylko zaplugawić naszymi rządami. Bazyli, ja ruski człowiek. Ale ruski człowiek, to jeszcze niekoniecznie starszy cenzor i płaszcz z czerwoną podszewką. Ruski człowiek, to już Sazonow, Kalajew, to robotnik zbuntowany, to owe tłumy, do których strzelano w Petersburgu. Ja ci mówię, Bazyli, przyszedł czas, w którym runie ten cały gmach krzywdy, ucisku i złodziejstwa. A nam, Bazyli, nic innego nie pozostało, tylko tym czerwonym odczynnikiem zmyć piętno Kainowe. Nie dla nas szczęście, nie dla nas uśmiechy losu! Patrz, ludzie tutejsi tyle krzywd od nas doznali, ciągaliśmy ich na prawosławie, bili, siekli, wieszali, grabili ich majątki. A wiesz? Wczoraj na wiecu z trzysta gardzieli zaryczało: „Niech żyje pop ruski ojciec Hapon!“ Czy ty rozumiesz, jak się ten naród musiał sam w sobie złamać, wyplenić słuszną nienawiść, zapanować nad całą swoją naturą, aby tak sprawiedliwie odróżnić Mocha-czynownika od Rosjanina, człowieka wolności? Jeszcześmy dla nich nic nie zrobili, dopiero tu i ówdzie zaczęliśmy walczyć o wolność dla siebie. I już nas szanują, już nas mają za ludzi, choć jeszcze siedzimy w Warszawie i zabieramy im chleb z przed ust... Mówiłeś, Bazyli, o obowiązkach. Teraz ja ci



---

coś o nich powiem. Już po takim jednym okrzyku zaciągnęliśmy wobec nich wielki dług. Cóż okrzyk, głupstwo! Ale za to [dawniej ogłoszonoby zdrajcą, oplutoby człowieka. Pop ruski! Że ten ruski pop odważył się podnieść rękę przeciwko uciskowi, już go pokochali, już wierzą, że się znajdą także inni. Sazonow, Kalajew! A wiesz ty, kto wychował pokolenie takich jak oni? I Rysakow rzucił bombę. Ale rzucił ręką, nie duszą. Hryniewiecki rzucił duszą, nie ręką, dlatego był skutek. On całe życie gotował się na tę chwilę. To nasz pierwszy rewolucyjny święty. My wszyscy z niego idziemy. My — Bazyli — źle mówię — tamci w Petersburgu. Bo nam tu dopiero ruszyć. Tak, Bazyli, rozważ sobie wszystko, co ci tu mówię. Czy znasz zwrotkę, którą lud tutejszy śpiewa? „Wkrótce zwycięży Chrystus Judasza“. To wielkie słowa. I mówię ci, to wielki lud; który je wypowiedział, choć dziś tak nim gardzimy, żeśmy go potrafili spodlić i do nóg naszych doprowadzić. Oj, zrywa się on od tych nóg a niebawem biada każdemu starszemu cenzorowi, Bazyli, każdemu płaszczowi z czerwoną podszewką. Tak, wkrótce zwycięży w tym narodzie Chrystus Judasza i wolna będzie ta rzeka; ta ziemia piękna, runą te kopuły złociste nad miastem i ten różowy gmach w dali na lewym brzegu Wisły runie, zwycięży Chrystus Judasza w ludach

---

północnej Europy i Azji, tylko potrzeba, Bazyli, w to rzeczywiście — silnie uwierzyć!“

---

Dzień 28-go stycznia zatrzęsł Warszawą. Jur, zgorączkowany, przebiegł ulice. Namiętny, porywczy, nie rozumiał z początku zachowania się tłumów, które na przechodzące oddziały wojska rzucały śniegiem i śmiały się. Te tłumy padały oblane krwią i jeszcze się śmiały. Jur palił się do zbrojnych występów, do zamachów, do odpowiadania gwałtem za gwałt. A tłumy, wszelkiej broni pozbawione, jedno tylko miały dla onej potęgi — swój śmiech. Gniewało to z początku Jura. „Francuzi północy“, szeptał przez zęby, idąc myślami za jakimś podręcznikiem, który rzekomo trafnie charakteryzował jakoby wieczną lekkomyślność Polaków. Ale ta dziatwa uliczna, która jak rój much natrętnych a śmiałych latała dokoła kozactwa, cóż ona miała wspólnego z oną lekkością paryską? Albo ci robotnicy, którzy śmiechem odpowiadali na salwy kozactwa, skąd w nich miała się brać owa nadsekwańska nietroskliwość? Nie, Jur, to chyba nie tak! On śmiech tłumów, to wyższość cywilizacyjna. Bijesz, bo masz nahaj. Ale co ty innego masz! Rządzisz na odległość kuli karabinowej a widzisz, śmieję ci się w oczy, bo nie-

---

bawem i na tę odległość nie będziesz już w stanie rządzić. To chyba tak, Jur! Kiedy młodzież runęła na ulicę z wszystkich zakładów, Jur pierwszy rozwinął czerwony sztandar. Zrywał wykłady tam, gdzie się jeszcze odbywały, wymyślał profesorom i dyrektorom, przemawiał na placach do robotników. Raz go nawet zaaresztowano. Ojciec wydobył go z kozy i zamknął w domu na klucz. Miał się z nim surowo rozprawić, ale tak był przeciążony śledztwami, że Jur, wyłamawszy drzwi, umknął z cytadeli domowej. Od tej chwili rozpoczął pędzić żywot, jak mówiono, nielegalny. Matka, która go kochała, przez kolegów dostarczała mu pieniędzy. Każdą noc spędzał gdzieś indziej. Kiedy nastąpił okres wielkich politycznych bezroboci, z garstką polskiej młodzieży, z którą się zaprzyjaźnił, obiegał fabryki, rozrzucał proklamacje, z rewolwerem w ręku czatował na linjach kolejowych pod Warszawą, aby zatrzymać pociągi, prowadzone przez łamisztrajków. A równocześnie nie zaniedbywał agitacji wśród młodzieży rosyjskiej i doprowadził do tego, że gdy olbrzymi pochód zbuntowanej młodzi polskiej przeciągał koło Kopernika, zawrzało w górze: „Z okien gmachu skradzionego Polakom, my, studenci rosyjscy, wołamy do was: walczcie, i my z wami walczyć będziemy!“ Wtedy około kościoła Wizytek jakiś stary Żyd wy

---

szedł na kamień i przemówił do zgromadzonych tłumów: „Tu na tym kamieniu stałem jako wyrostek, kiedy przed czterdziestu laty Warszawa po raz ostatni broczyła krwią wolności. Tu, tu obok, na bruku, leżały trupy Polaków i Żydów, ginących za wspólną sprawę. Oto dożyłem, że znowu jest wspólna sprawa i znowu święta krew rosi te bruki. Toteż, czy Chryścijanin, czy Żyd, niech każdy pójdzie do swojej świątyni i odmówi swoje Zdrowaś Marja“. Jur i Bazyli stali opodal. „Słyszałeś Bazyli?“ zapytał Jur, dziwnie blady i poważny. Bazyli płakał. Jur poklepał go po ramieniu i rzekł mu na odchodnem: „Ty Bazyli, nie wierzysz w żadne Zdrowaś Marja a jednak ryczysz. Więc widzisz, ty nie taka świnia, jak myślałeś!“

---

Po dniach szалу wolnościowego, po dniach bratania się z wojskiem, po dniach olbrzymich wieców, na których każdy mówca był jak natchniony a iskra geniuszu paliła się na czołach tłumów, przyszły dni grozy, dni pogromów ulicznych, dni krwi i stosów zwłok. Wojsko rozpraszało każdy pochód. Przepęłniły się wszystkie więzienia Warszawy, wszystkie szpitale, wszystkie trupiarnie. Ale lud nie dawał za wygraną. Gdy raz już wyszedł z nor, z ciemnic kon-

---

spiracyjnych, gdy zdobył sobie ulicę, nie chciał ustąpić z niej, nie chciał wracać do rewolucji, robionej w podziemiach. A ponieważ przerzedziły się szeregi jawnej i tajnej policji, ponieważ wszelki pościg za przodownikami stał się fikcją, przeto władze postanowiły 'dziennie szyć między lud tyle a tyle kul, aby przez systematyczny upust krwi obniżyć w nim zapał rewolucyjny. Szedł oddział wojska ulicą, starszy miarkował odległość, kazał stanąć a potem mówił: „No bracia, teraz możemy sobie postrzelać“. Żołnierze z pewną nawet dobroduszną flegmą zdejmowali z pleców karabiny, puszczały kilkanaście kulek między najspokojniejszą publiczność, brali potem karabiny na plecy, szli dalej, póki znowu starszy nie wymiarkował dostatecznej odległości i nie zakomenderował: „No bracia, teraz znowu możemy sobie postrzelać“. Wróciły czasy zbiorowej odpowiedzialności i to było właśnie najcharakterystyczniejszym znamieniem chwili dziejowej. Rząd wprawdzie wciąż w swoich komunikatach zapewniał, że staje w obronie spokojnych obywateli przeciwko knowaniom zbrodniczych grup, ale w rzeczywistości wobec tych grup był zupełnie bezsilny a kule swoje posyłał w piersi tych, których bezpieczeństwa rzekomo bronił a którym żadnej już opieki zapewnić nie mógł. Toteż, jeżeli w Rosji istniały jakieś po-

---

kłady reakcji, jeżeli Rząd miał tam swoich sojuszników, w Warszawie i w całym Królestwie Polskim wszyscy bez wyjątku byli przeciwko niemu a różnice, które ludzi podzieliły na zwalczające się nawzajem partje, miały swe źródło raczej w temperamentach niż w zasadach. Jedni chcieli ginąć a drudzy bali się ginąć, jedni umieli poświęcić wszystko, drudzy bali się poświęcić cokolwiek, jedni wierzyli, że nastął czas porachunku a drudzy bali się w to uwierzyć. Jur doskonale to postrzegał. Toteż nie mieszał się zupełnie do teoretycznych sporów i bił wciąż w jedno — w temperament. Młodzież, bardzo skłonna do programowych sporów, dzięki jego wpływowi zmieniała się; otaczał go stale wierny a oddany mu zastęp, który rzeczywiście ważył się na rzeczy wprost szalone. Dla tej gromadki nie istniała kwestja odwagi. Szli na kule jak na rój bzykających bąków. Jur jednak znikał co pewien czas, ilekroć nastęczała się jakaś specjalna robota. Od dawna bowiem tkwił w bojówce. Z początku dostarczał tylko różnych śrubek, gwoździ, elementów laboratoryjnych; potem, gdy poznano lepiej jego charakter, brano go w czasie zamachów do „osłony“. A potem?... Żaden historyk nie zwieje tej mgły, jaka cieniami konspiracji pokrywała jego kroki. Baczny psycholog byłby jednak część tej historii odgadł z jego twa-

---

rzy, która przybrała powłokę brązu, spokojnej stanowczości, nieugiętej woli. Oczy jego nabrały wyrazu żołnierza, który już był w kilku bitwach. Spojrzenie ich stało się dziwnie silne, dziwnie przejmujące, dziwnie ostre. Zdawało się, że może rozkazywać samymi tylko spojrzeniami. Były to nie spojrzenia, ale jakieś giesty. Toteż, gdy wracał ze swoich wypraw, gdy znowu złączył się ze swoją przyjacielską gromadką, oczy te odbijały niemal rażąco od oczu innych. Oczy tamte miały w sobie coś cywilnego, w jego oczach była — rewolucja. Nie jakaś tylko idea, nie jakaś agitacja, ale poprostu rewolucja. A jednak w tych oczach jednego nie było, co tryskało takim ogniem z oczu jego polskich kolegów. Nie było w nich — przyszłości. Jur wciąż sobie powtarzał: ja zginąć muszę. Dla nich jest życie, nie dla mnie. Kiedy na gruzach starego ładu powstanie nowy porządek, nie będą przechodzili żadnych tragedji domowych, nie będą żadnym matkom całowali rąk po śmierci ojca-kata, ani też ze spuszczoną głową szli za pogrzebem wuja-szpiega. A Jur, gdyby dożył takiej chwili, całowałby ręce nieszczęśliwej matki i łzy jej ocierał; na przekór całej Warszawie i całej wolnej Rosji szedłby za trumną wuja-szpiega i podpierał jego mdlejącą żonę-wdowę. I oto po wspaniałej wiosnie rewolucji owiałyby go lody tragedji osobistej, czego

---

nie chciał i czego nie chcieć miał, jak sądził, pełne, ludzkie prawo.

---

Pułkownika wezwano telegraficznie do Petersburga. Tego samego dnia późnym wieczorem Jur przyszedł odwiedzić matkę. Ucałowali się, usiedli, milczeli. Matka naprawiała bieliznę, Jur patrzył po ścianach. Minęło tak dobre pół godziny. Wtedy matka zapytała półgłosem:

— Jur, powiedz mi szczerze. Jesteś w bojówce?

Jur milczał. Matka przestała szyć, opuściła głowę, rozmyślała znowu jakie pół godziny a podniósłszy głowę, stawiała synowi pytanie drugie:

— Jur, powiedz mi jak syn matce. Czy ręce twoje spłynęły krwią?

Jur nie odrzekł i na to ani słowa. Twarz matki stała się ołowiana. Nie drgnął ani jeden nerw jej policzka, zwróconego do syna. I znowu po upływie jakiej pół godziny stawiała pytanie ostatnie:

— Jur, czy sumienie twoje nic ci nie wyrzuca?

Tu skierowała oczy na niego i spojrzenia ich zetknęły się ze sobą. Teraz dopiero matka spostrzegła zmianę, jaka zaszła w jego oczach. Mimowolnie wstała. I on wstał. Czas jakiś mierzyli się spojrzeniami. Potem matka, na pozór spokojnie, wyciągnęła



---

do niego ramiona. I on do niej wyciągnął ramiona, ale nie padli sobie w objęcia, tylko w milczeniu ściskali się za ręce, nie jak matka i syn, ale jak siostra i brat. W tej chwili padło jedno z wielkich wiązadeł starego świata. Oto zmienił się stosunek dziecka do rodziców. Tylko ten, kto dziecku swemu zdołał być bratem lub siostrą, ostał się na wielkim nurcie wydarzeń, który rwał serca w kierunku nowych światów.

Nagle matka wyjęła dłonie z rąk syna, popatrzyła do przyległych pokojów, pozamykała tam drzwi na klucz a następnie zwróciła się do syna niemal szepcąc: „Jur, przepatrz kancelarję ojca“. Jur drgnął, w oczach strzelił mu błysk, ruszył pospiesznie za matką. Ona wprowadziła go do pracowni, zastawionej policami pod powałę, udzieliła kilka wskazówek a następnie wyszła, zamykając za nim drzwi na klucz a klucz chowając na piersiach. Potem co jakiś czas obchodziła wszystkie drzwi obwodowe i nasłuchiwała. Po kilku godzinach Jur lekko zapukał. Matka wypuściła go. Jur niósł w rękach sporą paczkę. „Przecież tego tak nie poniesiesz?“ „Włożę za koszulę“. Matka wyszła z pokoju a on obładował się papierami. Gdy wróciła, zapytała go: „Jur, masz ty porządną broń?“ „Porządną? Jest, ale niewiele warta“. „Dam ci jeden z brauningów ojca“. Tu po-

---

kazała mu piękny okaz. Jur obejrzał, schował. Pożegnali się krótko. Matka sama wypuściła go za bramę, aby nie zwracać uwagi stróża. Nie zdążyła jeszcze wejść na schody, kiedy nagle posłyszała w ulicy szybkie kroki i strzał po strzale. Natychmiast w kamienicy zrobił się ruch. Zatrzasnęła drzwi, skoczyła do okna, wyjrzała. Ale mimo spokoju, mimo panowania nad sobą, miała oczy jakby sparaliżowane. Nacisnęła kilkakrotnie guzik dzwonka elektrycznego. Ale służący się nie zjawił. Wyszła tedy na schody frontowe. Brama była otwarta, za bramą słychać było jakieś głosy. „Aleksiej“, zawołała ostro. Z ulicy nadbiegł lokaj, półubrany, w narzuconym płaszczu. „Co się tam stało?“ zapytała go po rosyjsku. Lokaj odparł, iż zastrzelono jakiegoś człowieka, jak się zdaje, ajenta tajnej policji. Leży na rogu ulicy. Telefonowano po policję i po Pogotowie. Sprawca zamachu zbiegł.

---

W kilka dni później pisma rewolucyjne wydrukowały cały szereg tajnych okólników, demaskując rząd i jego rzekomo konstytucyjne zamiary. Narobiło to niemało hałasu. Umiano z papierów skorzystać tak zręcznie, że władze w żaden sposób nie zdołały wpaść na trop urzędniczego sprzeniewierze-

---

nia. Posiało to ziarna nieufności między zwierzchników a podwładnych, między szefów a sekretarzy. Zarządzono nawet szereg próbnych rewizji, które jednak nie doprowadziły do żadnego wyniku. Ojciec Jura wciąż bawił w Petersburgu. Telegrafowano do niego, czy nie mógłby przyspieszyć swego powrotu. A tymczasem przetrzāsano domy nie rewolucjonistów, ale różnych naczelników i ich pomocników, następnie domy najlojalniejszych ich przyjaciół, wreszcie domy przyjaciół tych przyjaciół aż do dziesiątej wody po kisielu owych stosunków, tracąc tylko czas i wszędzie siejąc oną atmosferę powszechnej nieufności i niepewności. W prasie legalnej pojawiały się komentarze do owych tajnych okólników, zestawiano te okólniki z tekstem konstytucyjnego manifestu i „babrano“ coraz bardziej administrację, wykazując, iż zajmuje ona właściwie stanowisko antyrządowe. Był to tak żywiołowy wylew oburzenia i prawdy, że niepodobna mu było zaradzić. Trzebaby zawiesić wydawnictwo całej prasy perjodycznej a to znowu wobec przyznanej wolności słowa wywołałoby burzę już nietylko na miejscu, ale w całej Rosji, która coraz głośniej wołała, że z Królestwa Polskiego uczyniono akademię dla wychowywania różnych administracyjnych carzyków. Z drugiej znowu strony pisma rozzuchwalały się, przekraczały wszelką miarę do-

---

tychczasowych wyobrażeń biurokratycznych a widząc w dodatku, że im to zupełnie bezkarnie uchodzi, coraz gwałtowniej napadały na cały system. Tak zwane pisma nielegalne nie miały już literalnie nic do powiedzenia, bo pisma legalne mówiły to samo a natomiast rozpowszechniały swoje wiadomości znacznie prędzej i szerzej, niż to mogła czynić rewolucja. Warszawa w ciągu krótkiego czasu z bezwzględnej konspiracji przerzuciła się do bezwzględnej jawności. Wyłynęła cała powódź pism humorystycznych, obrazkowych pocztówek, chłopaki w głos wykrzykiwały po ulicach: „Oplakanie konstytucji... Bardzo piękna pocztówka... Czterdzieści groszy“ — „Konstytucja kozacka na Placu Teatralnym“ — „Kurier Codzienny, organ Polskiej Partji socjalistycznej, wielkie babranie rządu“. Był to taki wybuch wolności, swobody, że władze zupełnie straciły głowę i przez jakiś czas do niczego się nie mieszały. Miało to zresztą związek z wypadkami, które się rozgrywały w całym państwie. Pod naporem rewolucyjnej Rosji zmieniono wygnańcze wyroki, wydane w Warszawie. Obrażony jeneralny pełnomocnik wystosował do Petersburga depeszę w tonie ostrej wymówki, na co otrzymał odpowiedź szyfrowaną tej treści, że rząd pragnie umyślnie, aby ludzie rewolucji ujawnili się, przeceniając chwilę, bo potem będzie

---

można łatwiej wyłowić ich wszystkich. Pełnomocnik odpowiedział telegramem zwyczajnym, że te wyjaśnienia zadawalniają go w zupełności. A rewolucja? Niestety, dowiedziała się o tem — zbyt późno.

---

Jur znowu zniknął. Szeptano sobie z ucha do ucha między kolegami, że zajęty był agitacją wśród wojska. Wiara, że wojsko przejdzie na stronę rewolucji, umacniała się coraz bardziej. Nocami do placówek podchodzili rewolucjoniści. Stojący na warcie żołnierz rozglądął się niespokojnie a następnie pytał:

— Czy prawda, że naród zaczyna się już wszędzie buntować?

— Prawda, brzmiała odpowiedź.

— Czy prawda, że wojsko tu i ówdzie przechodzi na stronę ludu?

— Prawda, brzmiała odpowiedź.

— To dawaj proklamacje a prędko, mówił żołnierz i chował za rękaw całą plikę odezw.

Jur zbliżył się teraz do Bundu i do socjalnej demokracji, które to partje odznaczały się szczególniejszą zdolnością do szerzenia agitacji wśród wojska. Zwłaszcza rosyjskie Żydówki imponowały Jurowi inteligencją i odwagą. Rzecz niezwykła, że te kobiety

---

mimo fatalnej wymowy, uderzającej zaraz przy pierwszych słowach przemówienia „bhatia sałłdaty“, nie budziły w tem militarnem prostactwie najmniejszych oznak antysemityzmu. Przeciwnie, antisemityzm zniknął wogóle. Rewolucja poskromiła go w zupełności. Kiedy Jur razu pewnego zaszedł do jakiegoś warszawskiego sklepikarza po składkę na rewolucję, ten wyjął dziesięć rubli złotem i rzekł: „Panie rewolucjonisto! Ja bardzo chętnie daję te dziesięć rubli i to złotem, chociaż dziś się złota z ręki nie puszcza. A dam chętnie i drugi raz, jak będzie potrzeba, bo jestem bardzo zadowolony z panów rewolucjonistów i ich działalności. Kiedy dawniej szedłem przez miasto, to mnie lada drab potracał, że musiałem mu schodzić z drogi na środek ulicy a on jeszcze za mną wołał: ty parszywy żydzie... A teraz, jak ja sobie idę, stary Żyd, chodnikiem, to mi wszystkie uliczniki robią miejsce. Ja teraz bardzo lubię chodzić po Warszawie. Bo mi już tylko to grozi, co wszystkim grozi. A to jest wielka zasługa panów rewolucjonistów i ja to potrafię ocenić“. Jur wysłuchał z powagą, nie uśmiechnął się nawet, aczkolwiek mu się na to zbierało. Ale choć ono podniesienie poziomu etycznego w masach napełniało go niewymowną radością, z każdym dniem stawał się chmurniejszym. Papiery zdążył przez jednego z najwierniej-

---

szych kolegów zwrócić matce przed powrotem ojca. Ten miał w Petersburgu jakąś nieprzyjemność, więc po powrocie, będąc roztargnionym, nie zwrócił uwagi na pewien nieład, jaki mu się zakradł do pracowni. Żona zaś dla zupełnego zatarcia śladów wymyśliła sobie restaurację kancelarji a w takich razach nieład tłumaczy się sam przez się. W ten sposób znikły wszelkie tropy wdarcia się rewolucji do fijołkowego sanctuarium. Jur był tedy zupełnie spokojny o matkę.

Ale nastały czasy, w których partja nie życzyła sobie bardziej natężonej działalności bojówki. „Idziemy dalej“, brzmiało hasło. Jak miało wyglądać to „dalej“, tego na razie nie określano. Koniec końców Jur nie miał roboty. A to dręczyło go i przejmowało trwogą, że nastanie era nie dla niego, era pokojowych zdobyczy, walk parlamentarnych, wykradania sobie praw, jak się wyrażał „era austriacka“, śród której on, syn żandarma konstytucyjnego, wiódłby żywot jeszcze bardziej przeklęty, że każdy dziś tak potulny Bazyli, syn Antoniego, Paszczenko, potem rozzuchwaliłby się do granic ostatecznych i że zamieniłby się w legjon. Nie czuł się Jur na siłach do życia... w tak szczęśliwych czasach.

---

Razu pewnego nie mógł zmrużyć oka przez całą noc. Stało się: zaczął filozofować.

Ludzie muszą jeść. Od tego są teorie ekonomiczne, żeby mieli coś jeść. Ludzie muszą się żenić i mieć dzieci. Od tego są małżeństwa. Ludzie muszą mieć jakiś społeczny ład. Od tego są prawa, sądy a nawet kozy. Ludzie muszą być mądrzy. Od tego są szkoły, wszechnice i egzaminy.

To takie proste i zarazem nieproste!

Bo cóż naprzykład pocznie ze sobą człowiek, który ma duszę? Dusza mówi: Tak myśleliście? a ja właśnie nie chcę. Dusza mówi: tak uradziliście? nie byłam przy tem. Dusza mówi: święty porządek społeczny? pluję na wasz święty porządek społeczny.

I dusza robi rewolucję.

Wygrywa. I cóż? Powstaje nowy porządek społeczny i naturalnie znowu święty. Nowe prawa, nowe sądy, ulepszone więzienia i udoskonalone egzaminy. Dusza się burzy. Precz z tą duszą. Tybyś tylko ciągle robiła rewolucję.

I bodaj, że dla duszy niema miejsca na świecie. Niema miejsca w żadnym porządku społecznym, w żadnym systemie prawnym. Dusza jak wiatr może ośm razy dziennie zmieniać kierunek swego wiania.

Ale cóż społeczność temu winna, że się rodzi dusza i że nie chce się nagiąć do jej ładu? Dusza



---

krzywdzi społeczność. Dusza jest nieszczęśliwa i innym nieszczęść przysparza.

Duszo, co będzie z tobą?

Tak rozmyślał Jur całą noc a nad ranem powiedział sobie:

— Dusza jest chyba od tego, żeby zrobić rewolucję a potem sobie poszła...

A potem myśl tę skierował do siebie:

— Duszo moja! Czy to już czasem dla ciebie nie po trzecim dzwonku?...

— — — — —

Ale koło rewolucji znowu się obróciło i wygniotło nową a krwawą bruzdę. Zbrojny ruch, jaki na okrainach państwa coraz bardziej się szerzył i już wkra-  
czał do rdzennych prowincji, zmusił rząd do całego szeregu wprost rozpaczliwych zarządzeń. Znowu bruki miast zlały się posoką ludzką. Nerwowa Warszawa, wrażliwa na każde hasło, pierwsza poczęła urządzać manifestacje. Pewnego dnia zebrał się ogromny tłum w ulicy Nowo-Senatorskiej. Jur ze swymi kolegami szedł naturalnie na czele. Rozwinięto czerwone sztandary. Ponieważ w tłumie było dużo młodzieży, przeto tym razem pieśń rewolucyjna rozebrzmiała wspa-  
niale, jak nigdy. Aczkolwiek było już tyle pochodów, tyle demonstracji, że każdy się z tem zżył jak

---

z chlebem powszednim, mimo to szczery zapał ogar-  
nął tłumy. Zapał ten nie doszedł jednak do tych  
wyżyn napięcia, jak to miało miejsce dawniej. Nagle  
zjawiała się policja na czele oddziału wojska. Po-  
wstało zamieszanie. Młodzież zaczęła się stawiać  
hardo. Policja kogoś chwyciła i chciała aresztować.  
W lot nastąpił jeden z owych paroksyzmów rewo-  
lucji, który zmienia ludzi nie do poznania. „Sztrajk,  
sztrajk“, zawrzało. Zatrzymywano tramwaje, odprzę-  
gano konie, rozgorzały oczy, twarze skrzywiły się  
w zacięty mars buntu. Oddział wojska w dodatku  
zachowywał się biernie a nawet ni stąd ni zowąd  
wziął karabiny na plecy i odmaszerował. „Brawo,  
żołnierze“, wołano ze wszystkich stron. „Wy z nami“,  
wołano, klepiąc ich po ramieniu. Natomiast policja  
w dalszym ciągu szamotała się z rewolucjonistami.  
Ale pod naporem tłumy musiała w końcu ustąpić.  
Jakiś rewirowy, zbiegając w stronę Placu Banko-  
wego, wyciągnął rewolwer i począł strzelać. „Śmierć  
mu“, zawrzało w tłumie. Ruszono pędem za nim.  
I oto na czele tłumy biegła młodzież z rozwianym  
czerwonym sztandarem, niesionym przez jakąś gim-  
nazistkę. Jur biegł opodal w otoczeniu kolegów. Po  
drugiej stronie placu około banku stał za rogatką  
oddział żołnierzy. Ów rewirowy, biegnąc, skinął ręką.  
Żołnierze pochylili karabiny, rozległ się cichy wzglę-

---

dnie grzechot i kule plusnęły w tłum. Ozwało się kilka jęków. „Jur, co tobie?” — Chłopak pochylił się twarzą naprzód, ujął się za pierś, przypadł na kolano. Koledzy pochwycili go. Dźwignął się raz jeszcze, wyrwał się im i z rewolwerem w ręku wysunął się kilka kroków naprzód. Żołnierze powtórnie pochylili karabiny. Tłum rozbiegł się na wszystkie strony, a Jur, ponownie trafiony kilkoma kulami, runął martwy na bruk.

W tej chwili zbliżył się do warty bankowej jakiś stary oficer, zwymyślał żołnierzy i zakomenderował broń do nogi. Rewirowy jednak nadbiegł i głosem dość ostrym zaczął robić mu wymówki. Powstała kłótnia. Tymczasem w głębi placu tłum zbierał się, wzdymał jak powódź i powoli zbliżał się do zwłok Jura.

A Jur, poszarpany kulami, leżał na bruku między wrzącym tłumem a stojącym w linii wojskiem. Jak krwawy próg pojednania dwóch nieszczęśliwych narodów przez rząd szczutych na siebie, leżał tam twarzą skierowaną w przestwory świata. Oczy stały się szkliste, twarz znieruchomiła. Czy przez ten okrwawiony próg owe dwa narody podadzą sobie dłoń do braterskiego uścisku? Na to odpowie przyszłość. Ale to pewna, że wszelka idea, którą zrosiła krew jej wyznawców, musi żyć, bo na to im właśnie to życie zabrała, aby sama żyć mogła.

---

Jur! Tyś nie poległ nadaremno. Przez zwłoki twoje popłynie historia nowym torem. Na bruku warszawskim nie zaginie pamięć o tobie. Częstka śmiertelna twej działalności pójdzie do grobu razem z tobą. Ale pozostanie owa częstka nieśmiertelna, częstka nieuchwytna, której nie zmogą kule karabinowe, ani baterje Cytadeli Aleksandryjskiej około Warszawy. Ta częstka nieśmiertelna przez nieprzejrzałe przestrzenie lecieć będzie i głosić stu ludom, rwącym więzy niewoli, że był na bruku warszawskim młody bohater, Rosjanin, który poległ za ideę braterstwa i pojednania.

---

Gdy wieść o wydarzeniu na Placu Bankowym stała się głośną, pułkownik wpadł w rozpacz. Rwał sobie włosy, zdarł szlify z ramion, klął swój urząd, klął służbę, klął cara i ministrów. Matka, nic nie mówiąc, szybko zebrała się, wkroczyła do dorożki i kazała się wieźć na miejsce wypadku. Pułkownik szalał całą godzinę, a potem drugą godzinę płakał jak dziecko. Niebawem zaczął dzwonić telefon. Lokaj zameldował, że gubernator pragnie się z pułkownikiem rozmówić. „Powiedz tej swołoczy — wrzasnął pułkownik — że ja się z nim wcale rozmówić nie pragnę“. Lokaj wyszedł, a po chwili wróciwszy,

---

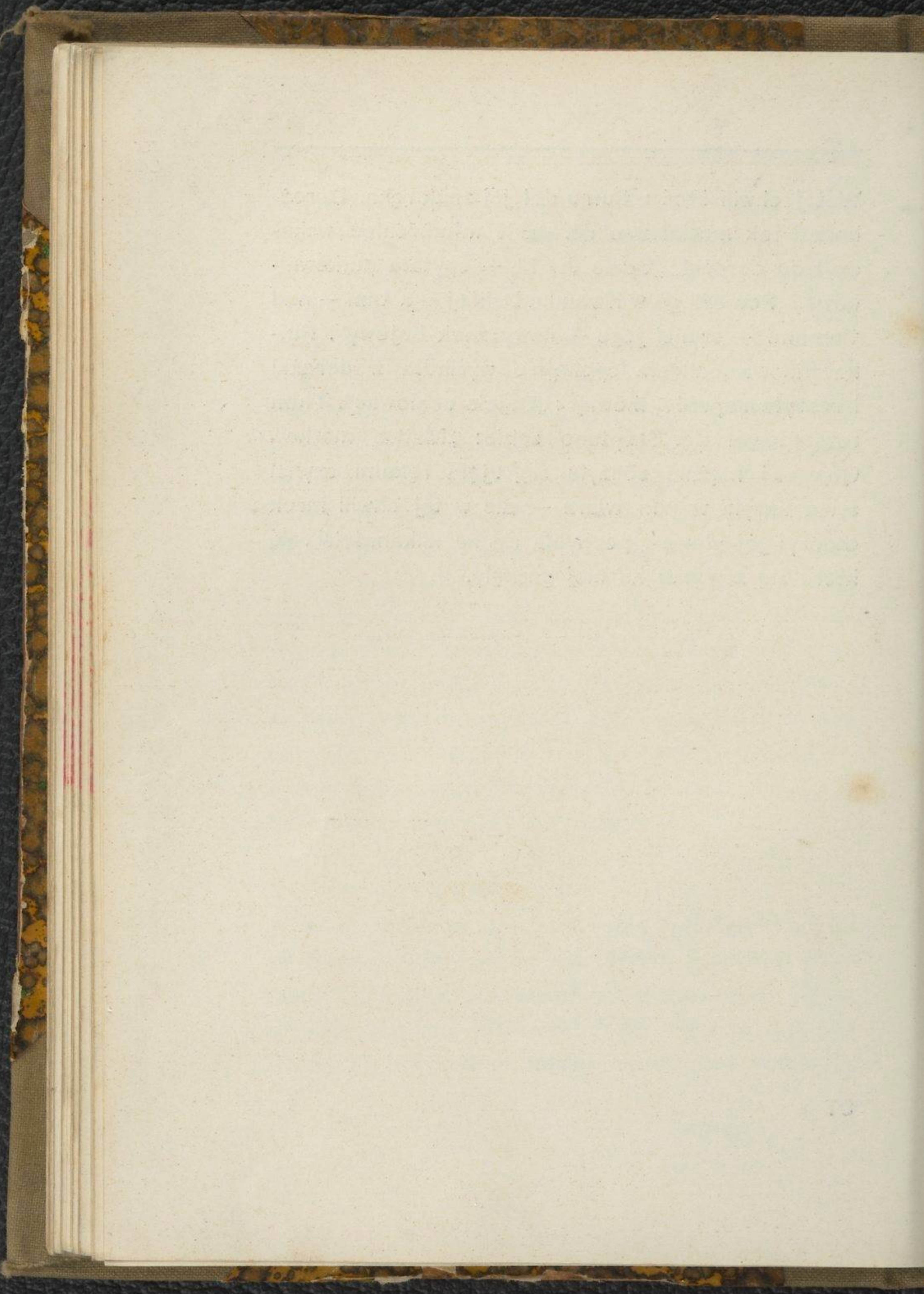
zameldował, iż telefonuje oberpolicmajster z wynurzeniami kondolencji. „Powiedz tej drugiej swołoczy — krzyczał pułkownik — że pluję na wszystkie jego kondolencje.“ Lokaj nie ruszył się jednak z miejsca, stojąc wyprężony jak struna. „Czego jeszcze stoisz?“ „Jego ekscelencja pan oberpolicmajster wraz z jego ekscelencją panem gubernatorem przykazali donieść, że w tej chwili siadają do karety, aby osobiście pokłonić się i wyrazić głęboki żal“. Pułkownik zamilkł. Potem otarł łzę, która mu wypłynęła na powiekę. Potem szepnął: „Powiedz, że będę rad“. Lokaj spełnił rozkaz. Po chwili pułkownik go wezwał i ze spuszczonego oczami, podając uniform, rzekł: „Widzisz, Wańka, trochę się tu szlify odpruły, trzebaby przyszyć“. Lokaj wziął mundur i poodzierane klapy honorowe, wyszedł, pułkownik zaś, coraz bardziej niespokojny, podreptał za nim i dodał: „A trzeba się z tem przyszyć pospieszyć, bo oni tam mają doskonałe konie i prędko jadą“.

---

Kiedy pułkownikowa skręcała z Świętokrzyskiej na Bagno, natknęła się na dziwny pochód. Tłum szedł z głowami odkrytymi i niósł dwa znaki, jeden, rozpięty sztandar czerwony, drugi — wysoko nad głowami niesiony, krwią oblany szynel. Coś tknęło ją.

---

W tej chwili ktoś z tłumu dał jej znak ręką. Dorożkarz i tak musiał zwolnić. Jakiś młodzieniec wskoczył do dorożki. „Gdzie Jur?” — spytała pułkownikowa. „Powieźli go w kierunku Dzikiej — a tam — nad tłumami — szynel jego — nowy znak bojowy”. Pułkownikowa całkiem spokojnie wysiadła z dorożki i ruszyła naprzód, mówiąc: „Dajcie ucałować”. Tłum rozstępował się. Szeptano sobie: „Matka, matka”. Ona zaś mężnie zbliżyła się, ujęła rękami szynel syna, ukryła w nim twarz — ale w tej chwili mrok otoczył jej głowę i pochyliła się na kilkanaście rąk, które się zewsząd ku niej garnęły.



---

**DZIENNIKARZ.**







Od niepamiętnych czasów wydawał brukowe pisemko „Świt“. Kiedy inni kładli się spać, on siadał do biurka redakcyjnego; kiedy inni wstawali, on kładł się do łóżka. Lekarze łamali nad nim ręce i straszili go wszystkimi chorobami najmodniejszej medycyny. „Trudna rada — odpowiadał — trzeba stać na posterunku“. Szczególny to był posterunek. Zbierał plotki i ploteczki, pomieszczał baję na wzór „żarłocznej kaczki“ i owego węża, co się przypiął do piersi niewiasty i ssał ją przez dwadzieścia cztery godziny. Ale od czasu do czasu puszczał się na „polityczne kawały“, które jednały mu sympatję całej Warszawy. Razu pewnego umieścił następującą notatkę, na pozór zupełnie niewinną: „Dowiadujemy się, że w jednym z kantorów loteryjnych na Saskim Placu zamiast kwitów księgi sznurowej wydają blaszki numerowane, a gdy potem interesant się z taką blaszką zgłasza — wyciągają księgi sznurowe i dowodzą, że go jakiś figlarz po prostu oszukał. Jedną z takich blaszek redakcja przechowuje i może ją osobom zainteresowanym każdej chwili pokazać“. Cenzura przepuściła tę wiadomość, bo któż zaiste mógł być wiedzieć, że na Saskim Placu jest tylko jeden taki kantor i że należy do Czerwonego Krzyża, pozostającego pod żar-

---

liwą opieką Marji Andrejewny. To też w dwie godziny po ukazaniu się odnośnego numeru „Świtu“, zjawił się rotmistrz żandarmerji na czele kozaków, otoczył redakcję ze wszystkich stron, przy każdych drzwiach postawił jednego Nohajca, a przystąpiwszy do pana Kazimierza, rzekł ze stalową uprzejmością:

— Pan redaktor będzie łaskaw zaprezentować mi ową numerowaną blaszkę z „jednego“ kantoru loteryjnego na Placu Saskim.

Redaktor sięgnął i pokazał. Rotmistrz obracał ją na wszystkie strony, oglądał uważnie, a potem rzekł:

— Ja ją konfiskuję.

— Ale za pokwitowaniem — odparł z uśmiechem uprzejmym pan Kazimierz.

— Czasu szkoda.

— O, tu, już przygotowane, tylko podpisać.

— Pan redaktor przewidujący człowiek.

— Jak każdy na — posterunku.

— Proszę dać pióro.

— Służę.

Rotmistrz podpisał, wstał i rzekł:

— Cała redakcja zostaje pod aresztem aż do mego powrotu.

— A długo to potrwa?

— Nie można wiedzieć.

---

— To pan rotmistrz pozwoli nam sprowadzić z restauracji żywność, bo z głodu pomrzemy.

— Polacy mają bardzo twarde życie. Niepotrzeba.

Skłonił się i wyszedł. Rozstawił strażę. Potem siadł do prelotki i jak wiatr poleciał na Saski Plac. Za nim pędził oddział kozaków. Otoczyli kantor ze wszystkich stron. Zbiegli się wystraszeni urzędnicy, nie rozumiejąc, co się dzieje, że na nietykalne mury prawosławia toż prawosławie nasyła żandarmów z kozakami. Stąd też potem powstało wśród kamaryli biurokratycznej ciągle wytykanie „intrygi polskiej”. Rotmistrz stanął przed sztabem urzędniczym i władzą naczelną, wyprostował się, nawet nie podniósł ręki do czapki, tylko zaraz na nich z góry wrzasnął:

— Coście tu za złodziejstwa, gałgany, porobili?

Wszystkie twarze zbladły i zzieleniały, naczelnik coś jął bąkać, ale rotmistrz podniósł w górę blaszkę i krzyknął:

— Na kolana, łotry!

W jednej chwili — buch, buch, buch, buch — o podłogę. Rotmistrz ujął się pod boki, klął ich, następnie opieczętował wszystkie księgi i skarbiec, zaareztował cały kantor, znowu wsiadł do prelotki i powiał na zamek.

Marja Andrejewna czekała go z niecierpliwością.

---

Ledwie wszedł, nie odpowiedziawszy mu nawet na ukłon, zapytała:

— Więc polskie oszczerstwo?

Rotmistrz skrzywił się boleśnie i odparł:

— Niestety, nie. Złodziej na złodzieju.

Nadwiślańska caryca ścisnęła pięści i odwróciła się półbokiem. Jadowite ukąszenie grzechotnika byłoby ją w tej chwili mniej zabolowało. Syknęła:

— Przeprowadzić surowe śledztwo a winnych — wygnąć won!

Rotmistrz skłonił się i wyszedł. Znowu siadł do prelotki, ale teraz już truchcikiem jechał, kierując się do redakcji „Świtu“. Zwolnił strażę a do redaktora rzekł:

— Zdejmuję areszt. Ale ani słówka nie pisnąć więcej o tem wydarzeniu, bo inaczej wyślę wszystkich z tego... posterunku... na trzy lata do Archan-gielska.

Gdy wyszedł, pan Kazimierz, uczyniwszy z rąk fujarkę, przytknął ją do nosa. Potem zamówił przez telefon obiad dla całego składu redakcji a i wina wcale nie żałował.

Ot, w jaki sposób stał „na posterunku“ i mimo najsroźszej rewizji cenzuralnej przemycał artykuły, które Warszawa wyrywała sobie z rąk.

Prawda, że w czasie wojny francusko-pruskiej

---

Francuzi w „Świcie“ ciągle wygrywali a Prusacy przegrywali. Prawda, że w czasie wojny anglo-burskiej Anglicy do ostatka brali w skórę a Burowie odnosili nadzwyczajne zwycięstwa. Ale tego pragnęły wszystkie serca warszawskie. Pan Kazimierz dla tych serc właśnie stał „na posterunku“ od lat. „Miej serce i patrzaj w serce“, odpowiadał na wszystkie złośliwe uwagi, sam przytem złośliwie się uśmiechając. Czuł jakiś dziwny pociąg do nabywania koncesji na pisma. Jak skąpiec, który gromadzi złoto dla złota, tak pan Kazimierz nabywał koncesje dla koncesji, żeby zaś nie traciły walu, raz na rok, ściśle według brzmienia ustawy, wydawał jeden numer „Gazety brukowej“, jeden numer „Gazety zarannej“, jeden numer „Gazety wieczornej“, jeden numer „Gazety powszedniej“, przesyłając cenzurze „przepisaną prawem ilość egzemplarzy“ — i koniec. Gdy go pytano o powód, nie umiał się nawet wytłomaczyć. Odpowiadał: „Czy ja wiem? Od przybytku głowa nie boli“. Cenzorów poił, płacił, pozwalał sobie nieraz więcej, niż rzeczywiście radziła przezorność i tak dożył wybuchu wojny na Dalekim Wschodzie, która krwią swoją ożywiła suchotniczy organizm warszawskiego dziennikarstwa. Teraz pan Kazimierz dopiero pokazał, że umie być mistrzem. Kiedy inne pisma łamały ręce nad szaloną Japonją, że jak mucha porwała się na słonia, „Świt“ zaczął umiesz-

---

czać zręcznie obok siebie z jednej strony szczegółowe wiadomości o wysokiej stopie japońskiej kultury, o karności wojsk „krainy wiśniowego drzewa“, o jej sztuce, literaturze, nauce, o patriotyzmie każdego żołnierza, a z drugiej strony przedrukowywał z wszystkich urzędowych organów rosyjskich nagany udzielane wojsku, oficerom, administracji, podawał wszystkie urzędowo stwierdzone kradzieże, pismo zyskało nowe zastępy czytelników, zdobyło sobie nadzwyczajną popularność, aż nareszcie prezes cenzury, zawezwawszy do siebie redaktora, rzekł mu krótko:

— Od dnia dzisiejszego „Świt“ niema prawa pomieszczać ani jednego przedruku z pism urzędowych.

Więc też przyszły na „Świt“ złe czasy. Warszawa odwróciła się od swego ulubieńca. Pan Kazimierz chodził po gabinecie, mruzczał, przemyślał. Był bezradny. Ale rewolucja, zrazu lekko grzmiąc, zbliżała się. Nastąpił wybuch jeden, drugi. Pojawił się Ukaz Tolerancyjny, Ukaz o Dumie a wreszcie formalna konstytucja. Pan Kazimierz odetchnął. „Teraz możemy rozpuścić temperament“, rzekł do współpracowników. Z wszystkich swoich złości, z wszystkich swoich zjadliwych uśmiechów, z wszystkich bolączek swoich ukreślił świszczący bicz satyry i zaczął nim smagać administrację, biurokrację, rząd,

---

że istotnie, z wyjątkiem chyba obraz majestatu, żadne pismo rewolucyjne nie mogło iść z nim w paragon. „Świt“, szmata zwyczajna, piśmidło brukowe, stało się nagle organem pierwszorzędnym a w dodatku znakomicie redagowanym. Pan Kazimierz posprowadzał sobie z Galicji największych drapichrustów dziennikarskich, ale utalentowanych, z każdym najpierw zamykał się i groził mu tak: „Słuchaj, psiajucho! Utyjesz, napęcznieje ci kieszeń, ale pisz, co ci każę. Jeżeli jednak, kanaljo, choć raz mi coś swojego wsadzisz, no, niech cię ręka boska broni“. Pismaki, okrywszy się obłokiem bezimienności, „rozpuściły temperament“ a pan Kazimierz nie prześlepił żadnego artykułu, ciągle ołówek jego coś kreślił, coś dopisywał, coś uwypuklał. W czasie bezrobocia pocztowo-telegraficznego, gdy gruchnęły wieści „Prusacy idą“, „niemieckie torpedowce płyną rządowi na pomoc“, „Świt“ pomieścił notatkę w tonie poważnym, że z powodu paraliżu komunikacji pocztowej kontrabandziści ofiarowali rządowi swoje usługi. Przez jakiś czas władze zupełnie utraciły — władzę. Nastąpiła w Warszawie iście amerykańska swoboda słowa a „Świt“ przodował całemu dziennikarstwu i przez krótką dobę tej wolności więcej przyczynił się do rozbudzenia świadomości



---

w społeczeństwie, niż niejedna partja polityczna w ciągu dwudziestu lat natężonej działalności.

Ale i ta wiosna wolności miała niebawem przekwitnąć. Nastąpił w Rosji wybuch zbrojnego powstania. Na dworze ścierały się ze sobą dwie frakcje: jedna, reakcyjna, domagała się wywrócenia konstytucji, powrotu do dawnego samowładztwa i cofnięcia wszystkich ukazów wolnościowych, druga natomiast, „liberalna“, chciała, aby rząd pozostał przy ustępstwach manifestu z dnia 30-go października, ale żeby ubiegł rewolucję, której wybuch jest nieunikniony, żeby ją w zarodku zdusił, żeby sam przerobił zasadnicze prawa państwowe i nie powierzał tego przekształcenia nawet ziemcom. Frakcja druga zwyciężyła pierwszą. Reakcja wyjechała „na wieś“ a liberalizm nadworny jął organizować delegacje do cesarza, które dzień po dniu przychodziły, błagały go o zniesienie konstytucji, z której naród tylko w zbrodniczy sposób chce korzystać, żeby przywrócił stare, ruskie, pocziwe samowładztwo itd. Władca odpowiadał, że żadną miarą nie może się na to zgodzić, że ma niezłomną wolę udzielenia ludowi wszelkich swobód, że nie odstąpi ani od jednego dobrodziejstwa, zapowiedzianego manifestem z dnia 30-go października, że daremnie kuszą go ci, którzy zamiast dobroci radzą mu srogość. Kiedy wieść o tych dele-

---

gacjach stała się już dostatecznie głośną, wtedy nadworny liberalizm nakazał jednego i tego samego dnia: zamknąć wszystkie pisma socjalistyczne, liberalne, demokratyczne, aresztować wszystkich przedstawicieli związku związków, wszystkie delegacje robotnicze, wszystkie wybitniejsze jednostki, brać ludzi, jak się później wyrażano „całymi ulicami“, ogłosić w całym państwie stan wojenny i wyprowadzić na ulicę wojsko z kartaczownicami. Żołnierze otrzymali instrukcję następującą: „Z żadnym porządnie ubranym panem rozmawiać nie będziesz. Zbliży się i przemówi, strzelaj. Jeśli stróż nie zamknie bramy na twoje żądanie, wal prosto — w mordę. Robotników, którzy na ulicy okażą najmniejszy opór, zaraz na miejscu — rozstrzelać. Nie patrz: dziecko, dama, kaleka; każdy ma jakąś proklamację w ręku i rozrzuca. Kłuj i strzelaj, masz zupełną swobodę działania“. Pan Kazimierz jakimś cudem wy dostał ten tajny rozkaz i część jego wydrukował. Toteż na drugi dzień zamiast „Świtu“ czytelnicy otrzymali „Nr. 2-gi Gazety brukowej“, która zaraz po naczelnym inseracie: „Kto ma nagniotki, niechaj używa tylko... etc.“, umieściła następującą wiadomość: „Z rozkazu warszawskiego generał-gubernatora pismo „Świt“ zostało wczoraj wieczorem zawieszzone. Prenumeratorowie „Świtu“ będą od dnia dzisiejszego otrzymywali „Gazetę

---

brukową“ do której wstąpił cały skład redakcyjny „Świtu“ i który będzie dalej spełniał swoje zadanie na tym dziennikarskim posterunku“. Rzecz prosta, że w ciągu jednej godziny rozchwymano cały nakład „Gazety brukowej“. Ale już nazajutrz zamiast niej pojawił się „Nr. 2-gi Gazety zarannej“, która znowu po naczelnym inseracie o najlepszym środku na nagniotki, pomieściła wiadomość, że z rozkazu jeneralnego gubernatora wydawnictwo „Gazety brukowej“ zostało zawieszono i że obecnie zamiast niej będzie wychodziła „Gazeta zaranna“. Po tej konfiskacie zjawił się znowu Nr. 2-gi „Gazety wieczornej“, po następnej Nr. 2-gi „Gazety powszedniej“. Warszawa patrzyła na tę walkę wprost z entuzjazmem. Pan Kazimierz wyrósł na bohatera. Stał się rzeczywiście szermierzem wolności słowa dziennikarskiego. Jeżeli miał jakichś nieprzyjaciół, przejednał ich, jeżeli wyliczano mu gdzieś na boku jakieś dawne grzeszki, puszczono teraz wszystko w niepamięć. Razem ze swoim redakcyjnym sztabem stał się ulubieńcem miasta. Aż nagle gruchnęła wiadomość, że wraz z wszystkimi swymi współpracownikami został aresztowany i osadzony na tak zwanym Pawiaku. Ale nim inne gazety zdołały donieść o tem publiczności, ukazał się nagle Nr. 2-gi „Gazety dla samotników“, którą zredagowano rzeczywiście w kozie, za pomocą

---

przekupionych straży przesłano do drukarni, złożono, odbito i to tak prędko, że już o godzinie 9-tej nazajutrz chłopaki wykrzykiwały po ulicach: „Gazeta dla samotników, przez politycznych samotników redagowana, cztery grosze!” Pod sakramentalnem ogłoszeniem o najlepszym środku na nagniotki, widniało zawiadomienie od redakcji tej treści: „Wczoraj po południu z rozkazu władzy wydawnictwo „Gazety Powszedniej“ zostało zawieszona a redakcja w całym swoim składzie zaaresztowana. Aby jednak do ostatniego tchnienia stać na dziennikarskim posterunku, wydajemy „z głębokości“ Nr. 2-gi „Gazety dla samotników“, prosząc szanowną publiczność o pewną wyrozumiałość, ponieważ warunki, w jakich teraz pracujemy, są nieco krępujące“.

To był jednak już ostatni strzał. W godzinę później położono areszt na drukarni, urządzono istną obławę na chłopaków-roznosicieli a pan Kazimierz przez okno celi zawołał do socjalistów, śpiewających w korytarzu Czerwony Sztandar: „Teraz nic więcej nie wymyślę i już chyba bez was nie wrócę na mój posterunek“.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in approximately 20 horizontal lines across the page.



---

PAN JEZUS W WARSZAWIE

BIBLIOTEKA T. F. S. J.

PAUL HENRI W. WARSZAWIE



one dni przyszło do nieba pismo z Rzymu, że się w Polsce źle dzieje. Tedy Pan Jezus bardzo się zmartwił, przystąpił do Boga Ojca i tak do niego rzekł:

— Mój Boże Ojcze! Dobrze mi jest u ciebie na jasnych niebiosach, niema co gadać. Alem już długo nie cierpiał razem z ludźmi i widzi mi się, że się tam trzeba znowu jakoś wybrać.

Bardzo to wziął pod rozwagę Bóg Ojciec i tak odpowiedział Panu Jezusowi w swojej woli przenajświętszej:

— Mój Panie Jezusie! Idź, nie wzbraniam ci, a nawet mówię i owszem, bo papież takie dziwności wypisał, że mi to wcale nie może trafić do rozumu. Spraw się tedy dobrze, wymiarkuj, co i jak, a potem wracaj, abym się od ciebie wszystkiego dokumentnie dowiedział.

Tedy Aniołowie, Apostołowie i Święci Pańscy zaczęli mocno płakać a otoczywszy Pana Jezusa zaklinali go z wielkim lamentem, aby dał sobie spokój. „Raz już“, mówili, „odcierpiłeś swoje, pojмали cię i ukrzyżowali; co ci drugi raz iść na los niewiadomy!“ Ale Pan Jezus zgromił ich i rzekł: „Powiedziane jest siedmdziesiąt i siedm razy podejmiesz cierpienie i dasz się za lud swój ukrzyżować. Tedy



---

mi nie przeszkadzajcie, jeno mnie odprowadźcie do furty niebieskiej a błogosławcie na drogę, boby ludziska powiedzieli, że ja, Pan Jezus, całkiem się rozpuściłem w rozkoszach niebieskich“.

Tedy wszyscy go otoczyli a prowadzili do furty, przodem zaś szedł święty Piotr z wielachnym kluczem ze szczerego złota, łyż ukradkiem ocierający. Długo jakoś dziury w furcie szukał, długo onym kluczem majdrował, aż otworzył. Zadęło tam zaraz zimnym wiatrem. Ale Pan Jezus nic, tylko się opatulił i ruszył naprzód. Furta się za nim zamknęła, nastały ciemności, zimnica, wianie a droga była bardzo paskudna. Bo czyż może być miła droga z nieba na ziemię!

Czasem zdało mu się, że ktoś za nim idzie. Ale się nawet nie obejrzał. Bo ktoby tam szedł! Żaden mu się przecie nie ofiarował na towarzysza!

Towarzysz ci ta nie szedł, a szła Nieufność. Oto ów Tomasz Niewierny, co to ran musiał się palcem dotykać, bo inaczej nic mu trafić nie mogło do głowy, wysunął się za nim cichaczem, bo tak sobie mówił: „Do razu sztuka, do razu, a potem nauka!“ Myślał, że Pan Jezus tak tylko sobie zdaleka na wszystko popatrzy i wróci.

Ale Pan Jezus szedł, szedł, aż doszedł do rogattek Warszawy. Staął, wybiegli, obstąpili go i zaraz

---

pytali, czy ma nabią, spirytus, abo co. Rozumie się, że nic nie miał. Tedy go puścili a on szedł dalej i zapukał do Przytułku Noclegowego. Przyjęli go, ale zaraz spytali o paszport, niby wedle tego, że stan wojenny. Rozumie się, że i paszportu nie miał. Tedy kazali mu iść przecz, żeby nie przyszła bieda na cały Przytułek. Pan Jezus westchnął, ale zabrał się i poszedł.

Idzie, idzie, aż ci go tu zatrzymuje patrol. „Kudy leziesz? A pasport majesz?” Nie miał, jak wiadomo. Tedy go chcieli zaraz na miejscu rozstrzelać. Ale że wyglądał bardzo poczciwie, więc go tylko stłukli kolbami i oddali stójkowemu, aby go wiódł do cyrkułu.

Stójkowy zaraz na rogu obszukał go całego i bardzo go sklął a nawet wyszturchał, że nic nie ma przy sobie. Potem go zaprowadził do kancelarji dla spisania protokułu. Ale wszystkie naczelniki porozchodziły się, więc go odrazu wsadzono do aresztu. Było tam już dwóch pepeśnickich robociarzy, jeden z Bundu, jeden socjaldemokrata, jedna panienska taka sobie, jeden klawisznik i kilku jeszcze. Wszyscy bardzo żarliwie dysputowali, czy ma być konstytuanta w Warszawie jedna a druga w Petersburgu, czy też tylko jedna w Petersburgu, jak gardłował socjaldemokrata. Tylko klawisznik do żadnego gada-

---

nia się nie mieszał a ona panienka chrapała w kącie, widno jawnogrzesznica jakaś, bo była bardzo pomalowana na różne kolory.

Kiedy pan Jezus wszedł, nikt go, rozumie się, nie poznał, tylko go zaraz oblegli i pytali, jak się tu dostał, co jest za jeden, polityczny czy zwyczajny i wedle wszystkiego go jeszcze pytali, jak to bywa w takich razach. Pan Jezus nic im nie odpowiadał, jeno bardzo płakał. Tedy mu rzekł jeden z pepeśników: „Towarzyszu! tu płkanie na nic, tu trzeba mieć serce twarde! Krzywdzą nas, polski naród, oj, krzywdzą! Toteż my się nie dajemy, ale robimy jeneralny sztrajk. Wojsko strzela po ulicach, kozaki pierą nahajami, fabrykanci uciskają, a panowie jedni chcą stać twardo przy tronie, drudzy chcą twardo stać przy Dumie, inni chcą twardo stać przy tem, aby był tylko spokój, a jeszcze inni gadają, gadają, tylko z tego gadania nic nie wychodzi“.

Pan Jezus furt słuchał i płakał.

Tedy rzekł mu socjaldemokrata: „Towarzyszu! Powiadają, żeby była Polska. A mów sam, co ta Polska dotąd dla nas, biednych robociarzy, zrobiła? Panowie ta obiecują, ale mnie się widzi, że wszystkie te obietnice są za ładne, aby ich kto chciał dotrzymać!“

Pan Jezus furt słuchał i płakał.

---

A Bundowiec mówił: „Towarzyszu! Tak gadali, że Żyd i Polak, to jedno. A widzisz, ledwie ci tu i ówdzie szkółki polskie pootwierali, już demokraci narodowe krzyczą: nie wpuszczaj Żyda! I do różnych szkół Żydów nie dopuścili“.

Pan Jezus furt słuchał i płakał.

Tedy oni się pomęczyli, przestali, niektórzy nawet posnęli a Pan Jezus wziął papier i zaczął pisać list do swojego arcybiskupa Popiela w te słowa: „Mój kochany arcybiskupie! Ja, Pan Jezus, zszedłem z nieba na ziemię, aby sprawdzić pisanie papieskie a potem, jak się da, pomódz biednemu narodowi polskiemu w walce o wolność. Ale mnie opadli, zaraz o paszport pytali, obszukali, czy mam co przy sobie, zbili i nawet do aresztu wsadzili. Siedzę tu między różną biedotą z pepees, z socjaldemokracji, z Bundu, między klawisznikami a nie brakło i jawnogrzesznej niewiasty. Cóż ty na to mój kochany arcybiskupie? Czy toto się nazywa święty porządek społeczny? Idźże zaraz do Skalłona na zamek i powiedz mu, żeby się precz wynosił z Polski razem ze swoim wojskiem. Potem jedź do Petersburga i powiedz, komu teraz trza mówić, bo niecałkiem wiadomo, żeby mi się tu nie ważył rządzić w tym polskim kraju, jeno ten kraj ma się rządzić sam, a jak się

---

chce przyjaźnić z porządnymi Rosjanami, to i owszem, bo braterstwo ludów zawsze opowiadałem“.

Gdy skończył, tedy jeden z pepeeśników ułatwił mu wysyłkę listu z ula i nazajutrz rano arcybiskup ono pisanie już w rękach swoich miał. Ale go wcale nie czytał, jeno dał swemu kanonikowi Mścichowskiemu, aby je przejrzał i załatwił, jak potrzeba. Kanonik przeczytał, uśmiechnął się, rzucił do kosza i pojechał kareta na miasto, bo mu tak doktor kazał.

Aliści dokoła aresztu zebrała się moc robociarzy, studentów i tego państwa, co to teraz rozrzuca różne odezwy. Jak zaczęli hałasować, szturmować, drzwi wywalili, więźniów uwolnili. Razem z innymi wyszedł ci także Pan Jezus. Długo płakał, ściskali go, nie wiedzący, kto on, i on ich także ściskał, wiedzący, kto oni. Potem rozwinął czerwony znak, stanął na czele tłumów i nic nie mówiący zaczął je prowadzić.

Zadudnił bruk, huknęły strzały, polala się krew a on ci je prowadził, choć padały trupy, czy pepeeśnickie, czy socjaldemokrackie, czy bundowskie, wszystkie razem prowadził, choć tam księdza nie ujrzałeś, choć hrabiego nie ujrzałeś i choć pana Sienkiewicza nie ujrzałeś, prowadził ci je, że nie było ani jednego pogromu żydowskiego, ani żadnej czarnej seciny, ani nic, tak się to porządnie ten cały naród w sobie

---

trzymał, jak się nigdy nie trzymał z księdzem, policjantem, albo narodowym demokratą.

A on Tomasz niewierny, co to za Panem Jezusem szedł krok w krok, krył się za kamienice i patrzył, biegł, krył się za drugie kamienice i jeszcze patrzył. A potem to go już całkiem wzięło. Wysunął się naprzód, zatrzymywał różne burżujskie państwo, ukazywał ręką na przodownika i wołał jakby w zachwyceniu:

— Patrz, kto ma oczy!

Stawało to wszystko i patrzyło, nie rozumiejąc, a Niedowiarek wołał:

— Nie poznajecie go? To on, mówię wam, on! Znam go przecie! W rany jego palce kładłem!

Tedy przystąpił do niego jakiś kanonik i jął go mocno fukać za bluźnierstwo.

— Kogo ty tam widzisz, głupi człowieku! Agitatora widzisz z czerwoną płachtą a nic innego nie widzisz. Nie byłeś że na sumie u Świętego Florjana? Nie słyszałeś, jak odczytano list pasterski arcybiskupa? Pan Jezus ustami arcypasterza przeklął te wszystkie mąciwody. A ty sam, kto jesteś, strzeż się, abys się razem z nim dziś jeszcze nie dostał do dziesiątego pawilonu!

Ale Tomasz Niewierny bardzo się zaperzył i począł mu wymyślać.

---

— A ty czarny tchórze, nędzoto jedna, co ty tu gadasz! Czy to ty wiesz, jak się on za każdą krzywdą ujmował, albo czyś ty go widział, jak płakał za swoim ukochanym Łazarzem? Ta patrz! Ten cały naród warszawski jest teraz jako jeden wielki Łazarz, wołający: Krew naszą długo lały katy! I powiada słusznie: Niech ginie stary, podły świat! Abo tamten nie wołał: Kamień na kamieniu z ciebie, stary świecie, nie zostanie? A ty sam pomyśl, czy to on nie mówił: Biada wam, Faryzeusze obłudni, biada wam groby pobielane!

Tedy i kanonik się bardzo zaperzył, poczęli się szarpać a kanonik krzyczał: „Narodowe demokraty do mnie!“ Ale już wokoło kulki porządnie świstały i wszystkie narodowe demokraty dały nura, kanonik też zawinął poły i zmykał, a Tomasz Niewierny, nie postrzegając, iż jest już tylko duch, wołał:

— Patrz, patrz, kto ma oczy! Jako żywo, on nietylko ładnie gadał wzorcem narodowych demokratów, ale się oparł władzy. Nie oparł się? Oparł, bo go już raz powiesili. Obili i powiesili, jak Okrzeję, Krauzego, Kasprzaka! Ludzie, idźcie za nim, bo on uczył, jak się trzeba buntować przeciwko złej władzy!

Toteż tłum rósł dokoła, coraz większy, wyległa na ulicę cała ludność warszawska, szewcy, krawcy,

---

stolarze, ślusarze, białoskórnictwo, piekarczyki, mularze, posłańcy, nawet dorożkarze pozłazili z kozłów, tramwאיści pozeskakiwali z tramwajów i przyłączali się, zleciały się wszystkie praczki, prasowaczki, szwaczki, podręczne, kucharki, oprzątki a przedewszystkiem robociarze i z Powiśla i z okolic Stalowej, woźnice, stróże, ani zliczyć tego narodu, co się walił i walił śpiewający: „Precz z tyranami, precz z zdziercami“ i — „my nowy zaprowadzim ład!“

Tomasz Niewierny siadł na bruku i w głos płakał. Śmiał się i płakał. Potem wznosił ręce w niebo i zawołał:

— Boże Ojczy, czy ty to wszystko widzisz!

A ledwie to rzekł, powstał wiaterek leciuchny i jął go unosić w niebo. A już było całkiem mroczno i jarzyły się gwiazdy. Spłakany Tomasz płynął w górę wyżej i wyżej, nad miasta, nad dale, ziemia znikła i oto otworzyła się złota furta niebieska. Tomasz wchodził przez nią na klęczkach z wyciągniętymi rękami. Poruszyło się całe niebo. Zbiegli się Zbawieni, Apostołowie, Święci Pańscy, Męczennicy a on tak na klęczkach sunął aż do potrójnego tronu i w ciągłym zachwyceniu będąc, wołał:

— Oczy moje, coście widziały! Uszy, co dane wam było usłyszeć! Cuda się dzieją na polskiej ziemi, choć kanoniki rażone ślepotą a biskupy na jęk ludzki



---

ogłuchłe! Ja go widziałem, ja, wątpiący, a pasterze powiadają, że on tam na czele nie idzie. Żydów widziałem i katolików w jednym areszcie po bratersku za sprawę siedzących a potem, gdy ich z kozy odbili, ściskających się z wielkim płaczem! A onych posądzili, że się wzajemnie różnili! On zaś, ten nasz najdoskonalszy, najświętszy, to ci się tak z tłumem pomieszał, że był jako maluczki między maluczkiemi. Anibyś go nie poznał. I chyba ten naród wyczuwa go, bo jak kogo wezmą a zamkną, to ci go tak odbijają, jakby samego Pana Jezusa chcieli uwolnić!

Zbawieni patrzyli na niego ze zdumieniem, niewiele rozumiejąc z tego gadania, bo kiedy żyli i cierpieli na świecie, to się przecież nic podobnego nigdy nie działo. Tylko święty Paweł, najuczeńszy, który słuchał uważnie i wszystko, co tamten mówił, z pismem papieskiem porównywał, marszczył brwi a spoglądał chmurnie w stronę Boga Ojca.

Bóg Ojciec zaś, także ku niemu markotnie po-  
glądający, skinął na Świętego Piotra i tak się z nim na boku rozmówił:

— Słuchaj no, Piotrze. Byłeś mi namiestnikiem, chodziłeś boso, zginąłeś męczeńską śmiercią. A ten terażniejszy namiestnik i żyje i dostatnio żyje i nie tylko nie myśli o żadnym męczeństwie, ale mi tu jeszcze na biednych ofiarników wypisuje różne cu-

---

dactwa. Słuchaj no, Piotrze, a gdyby tak z tymi namiestnikami zrobić jaki koniec?

Święty Piotr pokiwał głową i westchnął:

— Ano tak, poprzedni też lepszy nie był. Ludzi różnili jak barany a on to nazywał świętym porządkiem. Siedzi teraz wprawdzie w piekle po uszy. Ale cóż z tego!

A Bóg Ojciec:

— Tak, co mi ich tam potem do piekła posyłać. Słuchaj no, Piotrze, stary sługo. Patrzę na ten list i aż mnie wzdryga. Nakazuję ci, abyś mi tam już od tych namiestników żadnych listów nie przyjmował. Niech się ludzie z nimi załatwią jak chcą!

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

OPERA DISSIANA

Faint, illegible text in the middle section of the page, likely bleed-through from the reverse side.

---

Szanuj książkę!

QUOVADISIANA

Faint text at the top of the page, possibly a header or title.

Several lines of faint text in the upper middle section of the page.

A block of faint text in the middle section of the page.

Another block of faint text in the lower middle section of the page.

A block of faint text in the lower section of the page.

Faint text at the bottom of the page, possibly a footer or concluding text.

---

Na Obłym Wzgórku, w szlacheckiej Golgocie,  
Ukrzyżowany jubileuszami  
Siedzi Mistrz Henryk S... i w czoła pocie  
Koresponduje z Rusią, ministrami,  
Dzierżąc prym między ugodo-endeki,  
Prawdziwy polski minister bez teki.

Gdzież teka? Zgubił ją „Na polu chwały“,  
Gdzież ministerstwo? W Warszawskiej Ugodzie,  
Zgasł talent wielki, został człowiek mały,  
Co teraz powie — pisz kijem po wodzie!  
Lecz że panuje MANIA GRANDIOSA,  
Przeto się koza wybiera do woza,

Dzierżąc Trójedykt. Pierwszy do ministra,  
Wtóry do młodzi a trzeci do Rusi,  
W pierwszym zawarta myśl lojalnie bystra,  
Że o ruch zbrojny Polska się nie kusi,  
W drugim, że młodzież powinna bezsprzecznie  
W szkole rosyjskiej sięć cicho a grzecznie,

W trzecim, że bunty są niepolską rzeczą,  
Naród jest korny, naród wielbi ciszę,  
Że temu tylko biurokraci przeczą,  
Lecz on, co Polskę lat pięćdziesiąt pisze,  
Mówi, niech będzie mu dan miecz i tajstra,  
Zostanie wzorem oberpolicmajstra...

---

Że byłby dawniej czynił to z zapalem,  
Ale niestety „na organizację  
Rząd nie pozwolił“. W społeczeństwie całym  
Pod słowem każdy przyznaje mu rację  
A społeczeństwem po najdalsze wieki  
Były i będą... Ugodo-endeki.

Z tym Trójedyktem opuszcza swój Wzgórek  
Obły. Noc chłodna. A księżyc niejasny  
Zieloną twarzą z po za wieńca chmurek  
Wygląda. Dmie wiatr, ale jakiś przasny.  
Księżyc niebieski zająwszy paradyz  
Zaśmiał się gorzko i krzyknął: „Quo vadis?“

Mistrz zadrzał, stanął, przeżegnał się, słucha,  
Nie może pojąć, prawda li, czy mara,  
Że mu powieścią ktoś wrzasnął do ucha,  
Więc choć Petronjusz, szepnął: „Bóg ma wiara“...  
A że mu zimnym znojem przesiąkł potnik,  
Krzyknął przezornie: „Niech żyje robotnik!“

Bo kto o swoją dziś truchleje skórę,  
Zaraz w tę stronę odrzuca wiwaty  
A strach oblata nawet Obłą Górę  
I różne nasze wielkie jubilaty.  
Jubileusze jak wszelkie wyraje  
Mijają, ale — strach zawsze zostaje.

---

Wtedy w księżycu płaszczyźnie świetlistej  
Jęło się głębić, majaczyć, układać,  
Już widna czapa i wąs zawieszisty  
I głowa, która poczyna coś gadać —  
Poznał Mistrz Henryk bez zbytecznej troski,  
Że w tym księżycu drugi — Mistrz Twardowski.

Ten śmiał się. Ręce splótł na grubym brzuchu  
I śmiał się. Jeszcze śmieje się rubacha.  
Przerwał na chwilę i w nowym wybuchu  
Przez dale śmiał się: „Cha, cha, cha, cha, cha, cha!“  
Aż mistrz się nieco uraził, spoważniał,  
Spokażniał, nawet, powiedzmy, zwyrażniał.

Ale napróżno stał śród pola blady,  
W twarzy anemja i w duszy anemja,  
Bowiem od tego śmiechu kanonady  
Trzęsło się niebo i trzęsła się ziemia,  
Wreszcie rubacha chyląc się w przestworzy  
Wąsa podkręcił i rzekł w ton perory:

„Salve, Salvator Henricus, vel primus  
„Regni Poloniae senator! Eolska  
Harfo powieści! Naród targa przymus,  
„Ale się pociesz, bowiem wdzięczna Polska  
„Zapomni tobie wszystkie madrygały,  
„Listy, odezwy i Na Polu Chwały



---

„I polityczne twe słowa honoru,  
„Każdą twą radę, podpis w sprawie szkolnej,  
„Korespondencję z Mirskim bez rankoru  
„Rzuci do kosza i zachód mozolny  
„Wedle Ugody a zatem blamaże  
„Wszelakie skreśli, skwituje, przemaże,

„Zapomni... wszystko zapomni po bosku!  
„Potem, gdy życie twoje przetną Parki,  
„Każę figurę twą ulepić z wosku,  
„Obwozić w budach przez wszystkie jarmarki,  
„Figurę, owe rynkowe niebiany,  
„Ręce w dół sztywno, wiesz, wzrok z porcelany

„I czarny surdut pełen moli... Zato  
„Żąda niewiele, mało, bardzo mało.  
„Sądysz, wysiłków? Gdzie tam, macha na to!  
„Pomysłów? Gdzie tam! Gdyby ci się chciało  
„Tworzyć? Powiesci nowych? Pal je lichu!  
„Ono jednego chce tylko: siedź cicho!

„Ale tak cicho, żeby pies w tobie  
„Nie szczeknął, żeby nie zabrzękła mucha,  
„Siedź w Oblęgorku, puszczaj młynka sobie  
„I choćby niewiem jaka zawierucha  
„Szalała, choćby wciąż kusiło lichu,  
„Powtarzaj sobie raz wraz: Henryk, cicho!

---

„Choćby cię djabli brali, czy Ugoda,  
„Czyli Endecja, czyli Spasowicze,  
„Ruja, poróbstwo, Duma, Polska Młoda,  
„Wybory... słuchaj, jak ci zdrowia życzę,  
„Zrobiwszy krzyżyk nad wszelaką pychą,  
„Jedno mów sobie ciągle: Mistrzu, cicho!”

Rzekł i w księżyca roztapia się blaskach,  
Mistrz Henryk patrzy, słucha oniemiały;  
Szukając ścieżki w darowanych piaskach,  
Wraca a wiatry świszczą mu hejnały.  
Wstępuje w dworzec, staje nad kołychę,  
Usiadł nareszcie... Czy usiedzi cicho!? — —



---

**OSNOWA:**

PTAK . . . . .	7
ZWIDZISKA . . . . .	19
LATAWICA . . . . .	37
MACIEJ BALA . . . . .	47
ŚWIĘTO WOLNOŚCI . . . . .	59
JUR . . . . .	69
DZIENNIKARZ . . . . .	99
PAN JEZUS W WARSZAWIE	113
QUOVADISIANA . . . . .	127



Do nabycia w Każdej Księgarni!  
Senzacyjne polityczne powieści:

COUPERUS

**Władca pokoju**  
**Mikołaj II.**

Kor. 3

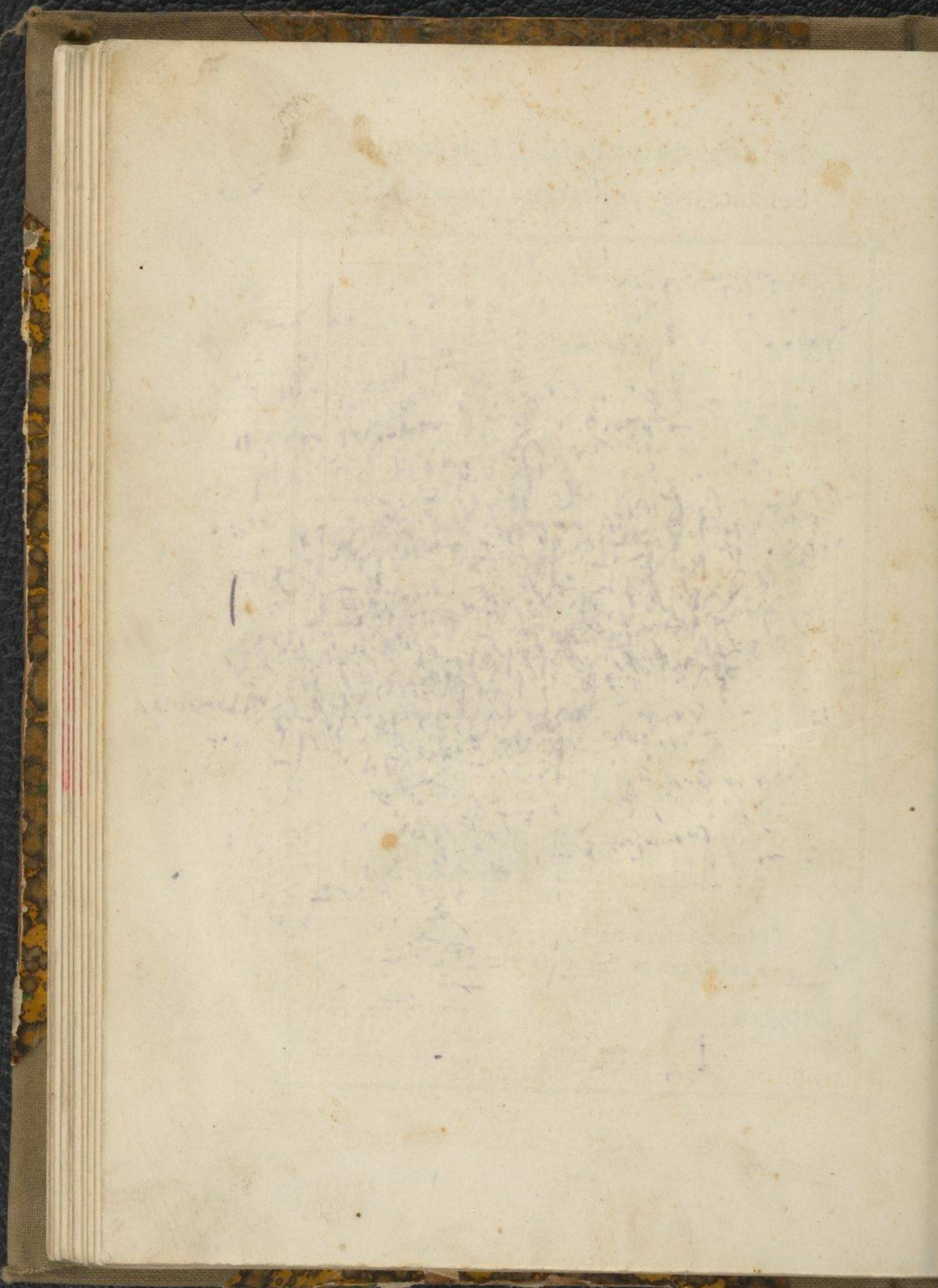
Kor. 3

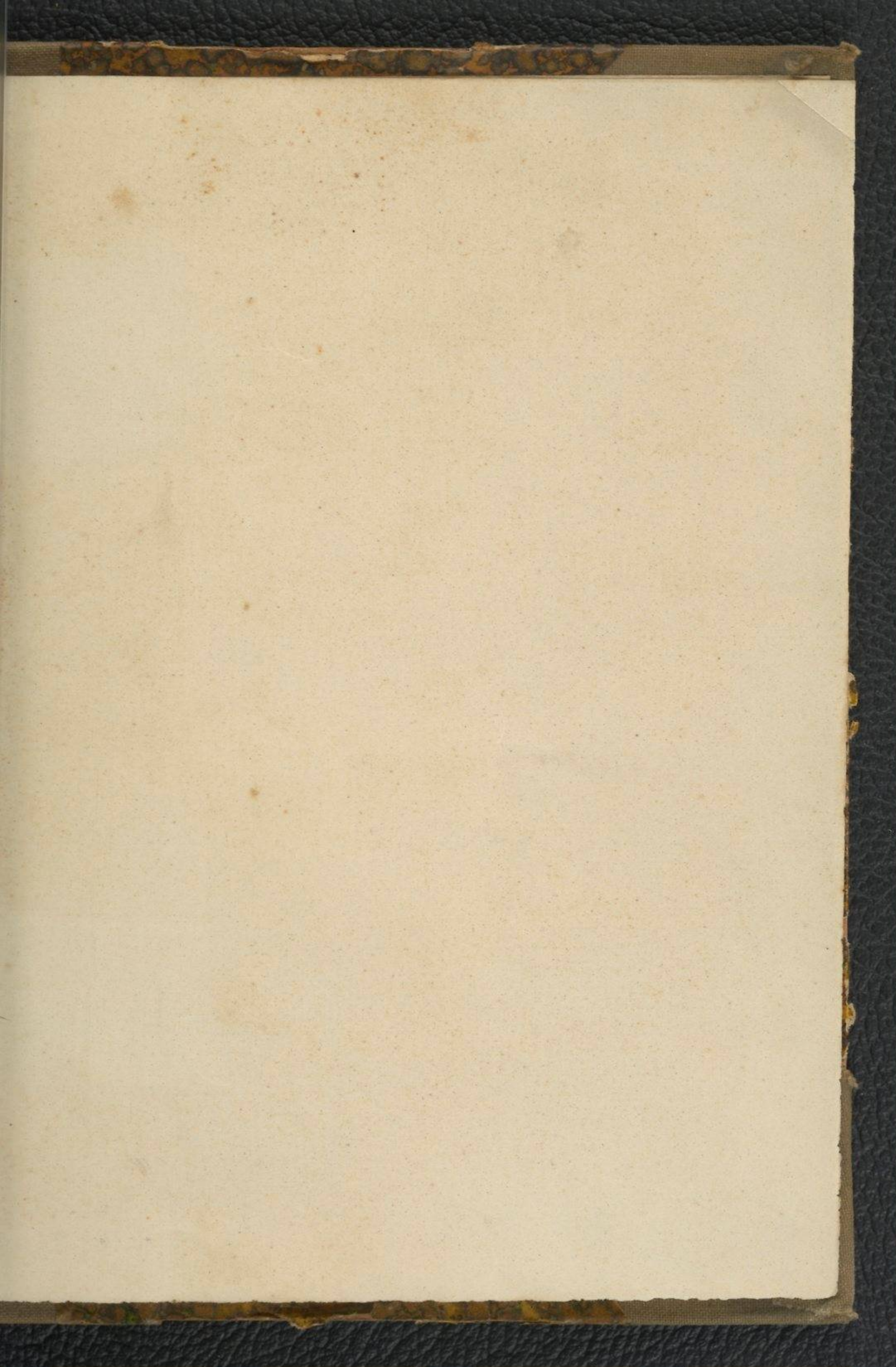
**PATACAKE**  
**WIELKI KRÓL**

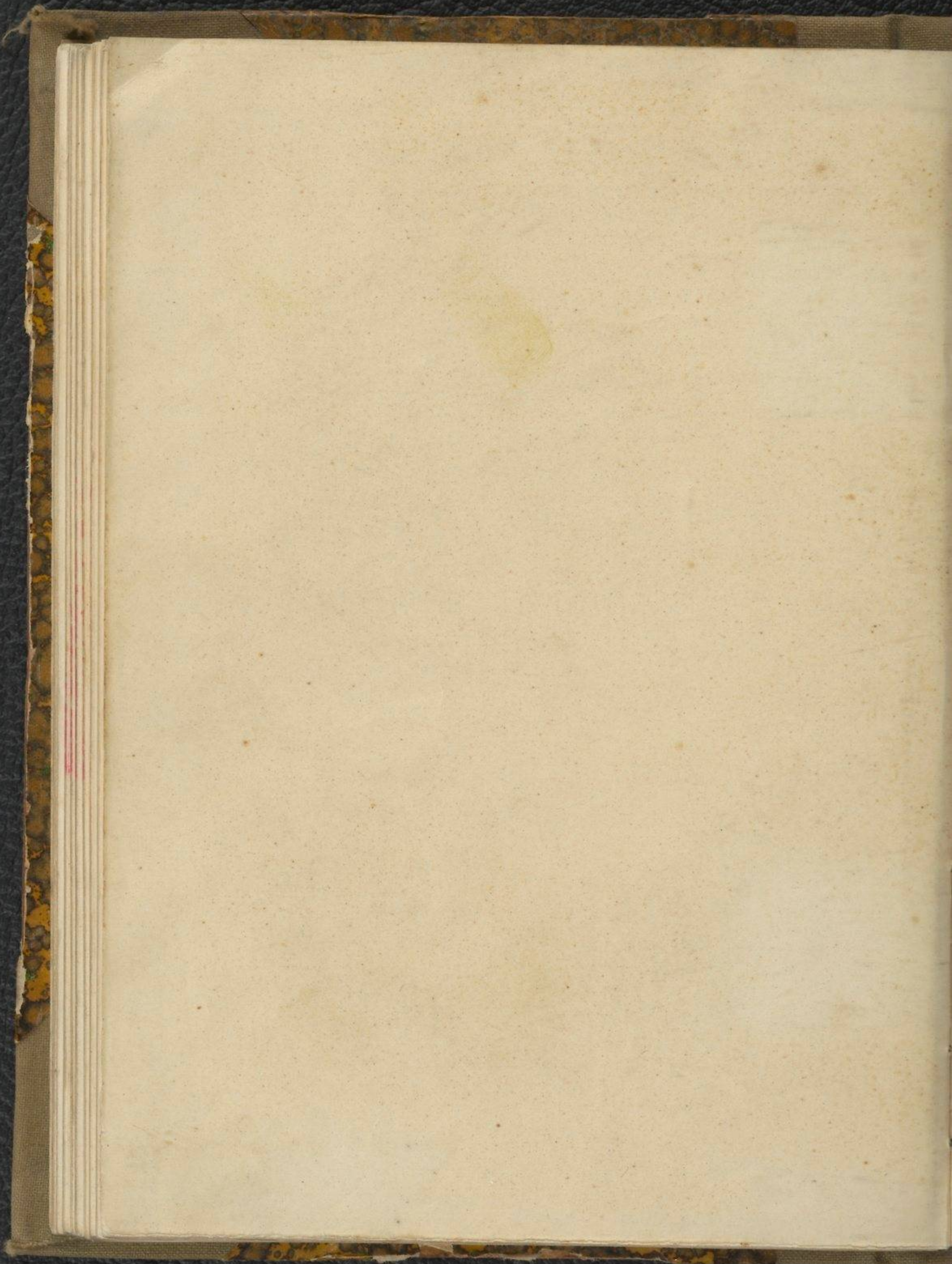
Świetna satyra na jednego z panujących,  
- - zakazana w Państwie niemieckiem - -

Kor. 3

Kor. 3







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001019918035





266722

BIBLIOTEKA  
NARODOWA